

Szczęśliwego Nowego Roku 2020 !



POLSKA TRADYCJA NOWOROCZNA

Mało kto wie, że w starożytności Imperium Rzymskiego dzień 1 stycznia był obchodzony jako święto boga Janusa. Jednakże oficjalnym rozpoczęciem kalendarzowego roku stał się ten dzień dopiero w II wieku przed Chrystusem i dotyczyło to najpierw rzymskich urzędów. Upowszechnienie tej daty w sferze prywatnej zawdzięczamy Juliuszowi Cezarowi, który—tworząc swój kalendarz zwany juliańskim—obrał właśnie 1 stycznia jako początek roku.

Słynny edykt z 313 roku, podpisany w Mediolanie przez dwóch cesarzy rzymskich: Konstantyna Wielkiego z części zachodniej Imperium Romanum oraz Licyniusza z części wschodniej, na mocy którego zrównano chrześcijaństwo z innymi religiami, zakończył okres prześladowań Chrześcijan. Rozpoczął on również proces chrystianizacji, który utrzymał wprawdzie kalendarz juliański, ale stopniowo wprowadzał, w miejsce pogańskiego święta Janusa tzw. styl Bożego Narodzenia, który rozpoczynał Nowy Rok 25 grudnia. W takiej postaci kalendarz juliański dotarł z Chrztem Polski do naszego kraju. Funkcjonował on aż do roku 1630, w którym powrócono do daty 1 stycznia określając ją jako tzw. styl Obrzezania (Chrystusa). Sam kalendarz juliański został nieco wcześniej, bo w 1582 roku zastąpiony kalendarzem gregoriańskim (wprowadzonym przez papieża Grzegorza XIII), który obowiązuje do dzisiaj.

Chociaż w staropolskiej tradycji Nowy Rok w obu stylach wchodził w okres świąt Bożego Narodzenia (które obchodzono w dniach od 25 grudnia do święta Trzech Króli czyli 6 stycznia), to jednak polska tradycja noworoczna datuje się od XVII wieku, po

Ciąg dalszy na stronie 2

W numerze m.in.:

Strony 1, 2 i 3

Polska tradycja noworoczna

Strona 3

**Jak stado owiec na kiepskie
pastwisko - Problem Nr 1**

Strony 4, 5, 6 i 7

**Z górnej i niższej półki. Co nas
żywo interesuje ?**

Strona 5

Noworoczne porzekadła

Strona 8

Jakim był rok 2019 ?

Strony 10, 11, 12, 13 i 14

Wyrzycie jej imię z dumą

Strona 14 i 15

**Wspomnienie o śp. Irku
Marciszuku**

Strona 15

Błazenada Putina

Strony 16, 17, 18 i 19

Strażnicy postępu

Strona 19

**Czy nie widzicie, że państwo się
rozpada ?**

Strona 20

**W 81-szą rocznicę śmierci Romana
Dmowskiego**

wyodrębnieniu się początku roku na dzień 1 stycznia. W naturalny i bardzo charakterystyczny dla Polski sposób spłotła się ona z Bożym Narodzeniem. Utał się m.in. obyczaj chodzenia „po kolędzie”, który rozpoczynał się właśnie na Nowy Rok.

Kolędnicy, przebrani za różne postaci ze scenarii betlejemskiej, wzbogacone swoistą mieszanką dobrych i złych charakterów, chodzili po chałupach z dobrą nowiną Narodzenia Pana. Śpiewali przy tym rozmaite piosenki, recytowali wiersze, które miały rozbawić i rozśmieszyć gospodarzy. Za to kolędowanie byli wynagradzani jedzeniem, czasami drobnymi datkami pieniężnymi.

Nie były to kolędy w sensie współczesnym czyli pieśni bożonarodzeniowe, śpiewane w kościołach, chociaż często je również wplatanio. Zazwyczaj było to rubaszne przymawianie się o datki dla kolędników, którzy przybyli z powinszowaniami „Nowego Latka”. Oto jeden z przykładów takiej przyspiewki kolędników:

„Mości gospodarzu, domowy szafarzu,

Nie bądź tak ospały, każ nam dać gorzałę

Dobrej z alembiku, i do niej piernika.

Hej kolęda, kolęda !

Mości gospodynie, domowa mistrzyni,

Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę,

Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera.

Hej kolęda, kolęda !”

Sam zwyczaj noworocznego kolędowania trafił „pod strzechy” z dworów królewskich i możnowładczych, gdzie obdarowywano dworzan i służbę często nawet cennymi podarkami właśnie na Nowy Rok. Herburt, za króla Zygmunta Augusta, tak pisze o Nowym Roku:

„Biegają dziatki po nowym lecie, i przyjaciele dają sobie nowe lato, a

zwłaszcza panowie sługom, bogaci ubogim, winszując sobie na nowy rok wszęgo dobra.”

Po dworach, miastach i wsiach kolędniczą tradycję wzbogacano—obok postaci ludzkich—także pokazami tresowanej zwierzyny. Z czasem jednak, kiedy wskutek polowań, o zwierzynę do tresury było coraz trudniej, zaczęto posługiwać się skórmi dzikiej zwierzyny. W ten sposób powstała m. in. postać turonia, odwołująca się do udomowionego tura. Przejście do zastępowania żywych zwierząt ich skórmi przetrwało w staropolskim powiedzeniu: „biega, by z wilczą skórą po kolędzie”.

Stałymi postaciami wszystkich kolędujących grup były—poza Dzieciątkiem Jezus, Maryją, Józefem, pasterzami czy Trzema Królami—również aniołowie, diabli czy postać okrutnego króla Heroda. Nad kolędnikami unosiła się wielka gwiazda, symbolizująca Gwiazdę Betlejemską.

Ale nie tylko podarkami i kolędowaniem stała polska tradycja przełomu roku. Nieco mniej znanym, aczkolwiek bardzo rozpowszechnionym obyczajem było płatanie sobie różnych figli przez kawalerów i panny na wydaniu. Często polegały one na kradzieży drobnych fantów w Sylwestra, które właściciel lub właścicielka mogli wykupić w Nowy Rok. Najczęściej kawaler żądał za oddanie fantu całusa od panny, zaś panna wykonania przez kawalera jakiejś, często zabawnej, czynności.

W noc sylwestrową panny zabawiały się również we wróżby, podobne do tych z nocy andrzejkowej. Panna, która w noc sylwestrową doczeka północy, a więc Nowego Roku przy świetle dwóch świec, stojących przed lustrem, nie obojętnie się ani razu za siebie, ujrzy w tymże lustrze postać swojego przyszłego męża.

Polski obyczaj sylwestrowo-noworoczny zawiera też wzmianki o specjalnej wieczerzy, spożywanej w starym roku, coś na wzór wieczerzy wigilijnej.

Uprzywilejowaną potrawą była tutaj lemiuszka z mąki pszennej, żytniej lub gryczanej. Młodzież uderzała się przy jej spożywaniu drewnianymi łyżkami nawzajem po policzkach, a potem mazała resztkami okna sąsiadom. Wierzono, że ma to zapewnić dla wszystkich dostatek chleba w Nowym Roku.

Wieczór sylwestrowy z tą charakterystyczną wieczerzą był powszechnie zwany w Polsce „szczodrym wieczorem” (na Rusi „bohатыm weczерem”). Z nastaniem Nowego Roku na każdym stole obowiązkowo musiały leżeć na białym obrusie lub ręczniku bochen chleba oraz sól jako symbole darów bożych, którymi każda chata powinna być pełna podczas całego roku. O północy obsypywano się owsem na znak całorocznego urodzaju ziarna.

Co do trunków, to na wsiach królowała gorzałka z samogonu, wino czy miód były spożywane raczej we dworach szlacheckich, chociaż i na nich nie gardzono wódką. Często gorzałki sporządzano z dodatkami rozmaitych ziół czy spijano nalewki owocowe, przygotowane na tę okazję jeszcze podczas lata czy na jesieni. Napoje wysokowe były najczęściej własnej produkcji (samogon, miody). Uzupełniały je zakupy u Żydów w tawernach lub handlarzy. Cena—jak zawsze—określała tutaj jakość kupowanego alkoholu. Jednakże—co warto podkreślić—wódki własnego wyrobu królowały tutaj niepodzielnie. Zwane były alembikiem od nazwy specjalnego naczynia destylującego, składającego się z kotła, czapika oraz blaszanych lub miedzianych rur. Surowcem do produkcji takich wódek były zazwyczaj ziarna zbóż (najczęściej żyta), w późniejszych czasach (wiek XVIII) także coraz powszechniej uprawianych ziemniaków.

W chatach wiejskich zatem w noworocznej tradycji dominowała gorzałka. Miody i wina były domeną co

Jak stado owiec na kiepskie pastwisko

Problem Nr 1

Ogólnie nie zdajemy sobie sprawy, że po zakończeniu II wojny większości Polakom odebrano własność prywatną, często wielopokoleniową, czasami przez wieki należącą do zasłużonych rodzin, a ludziom wmówiono, że dokonała się jakaś sprawiedliwość dziejowa, że zabrano ją tym, którzy bili chłopów, ciemnieżyli ludzi, że odebrano ją zapłutym karłom reakcji, wichrzycielom, zdrajcom ludu itd. Przekaz był tak mocny i długotrwały, że zagłuszył podstawową prawdę iż wszystkich pozbawiono polskiego kapitału, że za jednym podpisem włączono nas (bez wyjątku) w obszar biedy i niedorozwoju intelektualnego oraz poddaństwa. A tym, którym pozostawiono jakąś własność, poddano presji wszelkiego rodzaju domiarów, podatków, jak pisze prof. Anna Pawelczyńska, tylko po aby utrudnić życie, aby zabić tradycję, ograniczyć możliwość kształcenia i zmusić do posłuszeństwa.

Najgorsze jest jednak to, że na takim przekazie pozbawionym refleksji zostało wychowanych kilka pokoleń Polaków. Na nim ukształtowała się nowa kasta ludzi, która swoje gniazdo uwiła na micie „anty”; z niego żyje i będzie bronić go jak niepodległości. Są tacy, którzy wykształcili się, pozakładali swoje firmy, a więc jakby „z urzędu” stali się inteligentami i żyją na poziomie przysłowiowego pana a dalej walczą z nim, jak z mitycznym złym smokiem. Dalej chcą go zabić, odbić krzywdę pradziadów, odebrać, to co im dziedzic zabrał lub nie zabrał. Nie zdając sobie zupełnie sprawy, że ówczesny pan na przednówku zawsze poratował (nawet, gdy chłop pieniądze przepił w karczmie), bo go potrzebował, bo był jego (to siedzi w korzeniach!!) bo należał do wspólnoty, bo religia nie

pozwalala źle go traktować itd., że spichlerz pański był takim bankiem, który dawał mu gwarancję przeżycia. Ci wszyscy jakby nie dostrzegają, że dziś już nie ma ani pana, ani nawet chłopa, ale zajądlność pozostała.

Nie wnikając w szczegóły, po II wojnie zniszczono wszystko. Zamordowano tę ludzką przyzwoitość, porządność, uczciwość, zniknął przez wieki wypracowany wzajemny szacunek i zrozumienie, które były lepiszczem i mechanizmem łagodzącym wewnętrzne stosunki i całą naszą kulturę. Bardzo wielu chłopów w II RP wykształciło się (mieli za co) na tradycyjnym modelu i stało się inteligentami z prawdziwego zdarzenia, czasami wiedzą i wychowaniem przewyższający tych tradycyjnych. Natomiast ci wszyscy „czerwoni wojownicy” nie zdają sobie sprawy, że nowemu panu, któremu tak hołdują, nie zależy na niczym i że dopiero on jest tym modelem, z którym do tej pory z taką zajądlnością walczyli. Dopiero on pokaże im, jak to było pod zaborami, jak wygląda klasyczne „dojenie” poddanego i jak można się na tym porządnie dorobić. Ale już banków nie będzie, nie będzie też żadnego poczucia wspólnoty, ani chrześcijańskiej litości lub chociażby przyzwoitości. Będziemy okorowywani aż do kości, aby zmusić nas do walki o byt, aby odwlec od myślenia, zapędzić do wyścigu szczurów i niewolniczej pracy, bo przecież jest nas zbyt dużo na globie. Aby było, tak jak było.

I to jest to właśnie pomieszanie z poplątaniem, które konserwuje miniony komunizm, tak bardzo przeszkadza nam w życiu i nie pozwala ułożyć go w sposób harmonijny. Właśnie za pomocą tych przymiotów jesteśmy pędzeni, jak stado owiec na kiepskie pastwisko.

Ryszard Surmacz

Strona 3

POLSKA TRADYCJA NOWOROCZNA (dokończenie)

bogatszych oraz zaścianków szlacheckich, domów mieszczańskich i dworów.

Szampań pojawił się na ziemiach polskich na przełomie XVII i XVIII wieku i to tylko na dworach magnackich i dworze królewskim. Było to specjalne wino francuskie, którego efekt musujący uzyskiwany był dzięki specjalnej fermentacji i leżakowaniu, bez sztucznego dodatku dwutlenku węgla. Oczywiście, było to wino bardzo drogie, więc niedostępne kieszeni niższych warstw. Nie był on też jakimś doniosłym elementem polskiej tradycji powitania Nowego Roku aż do XX wieku. Jako butelkowany pojawił się on dopiero w 1660 roku i był spożywany na dworach królewskich Francji i Anglii. Od nich właśnie rozprzestrzenił się także do Polski tak, że obecnie nie wyobrażamy sobie powitania Nowego Roku bez szampań lub jego namiastki w postaci jakiegoś wina musującego. Przy nim składamy sobie noworoczne życzenia, z nim kojarzy nam się sylwestrowa noc.

Życzę wszystkim szampańskiego Nowego Roku 2020 !

Stanisław Matejczuk



Przedstawiamy wprowadzenie ks. prof. Zygmunta Zielińskiego do jego książki w wydaniu internetowym p.t. „Z górnej i niższej półki - Co nas żywo interesuje ?” Jest to zbiór felietonów z niepoprawni.pl oraz z naszego dwutygodnika. Każdy z nich został opatrzony uaktualnieniem autora. Całość można przeczytać na naszych stronach pod adresem: http://www.atopolskawlasnie.com/wydawnictwo_psf.html Niektóre z nich będziemy prezentowali na łamach naszego dwutygodnika.

Redakcja

Mnogość środków przekazu i instytucji nastawionych na kształtowanie opinii publicznej sprawia, że większość informacji tą drogą przekazywanych trafia, tak naprawdę w próżnię. Nie wiemy do kogo one docierają, na ile wpływają na myślenie przeciętnego obywatela, czy w ogóle taki wpływ wywierają, na ile decyduje on o ich wyborach. Publikatory nastawione na bardzo szeroki zasięg, a są to wszelkiego rodzaju obecnie działające portale Internetu, zwłaszcza te, które ułatwiają wypowiedź, nie wymagając ujawnienia nazwiska piszącego, mogą wywierać wielki wpływ na ludzkie wybory i decyzje, ale zbadanie natężenia tego zjawiska jest praktycznie niemożliwe. Wprawdzie komentarze czytelników, przynajmniej teoretycznie, powinny świadczyć o rodzaju recepcji, ale mają one poważne mankamenty, których źródłem jest najczęściej kompletna amatorszczyzna, zarówno autorów publikacji, jak w jeszcze większej mierze, owych komentatorów. Toteż komentarz przeważnie nie ma nic wspólnego z tematem poruszonym przez, nazwijmy to, felietonistę, a odzwierciedla raczej problemy nurtujące komentatora, względnie zachodzi swego rodzaju dialog, nie zawsze merytorycznie dojrzały między dwoma lub kilkoma autorami komentarza. Do sprawy tej powrócimy jeszcze, bo jest ona dla obiegu opinii publicznej bardzo istotna. W sumie zatem poruszane na blogach

Z górnej i niższej półki. Co nas żywo interesuje ?

tematy żyją własnym życiem i pewien wgląd w ich oddziaływanie daje ilość osób sięgających po te teksty. Nic to nie mówi o ich stosunku do poglądów autora, dlatego też niekoniecznie wypowiedź jego zostaje w ten sposób zaakceptowana, a raczej poruszony przezeń problem. Nieco inna okoliczność zachodzi, kiedy znany jest autor felietonu. Może, choć nie musi, zmieniać to motywacji sięgających po artykuł. Jednakże i tu nie otrzymujemy żadnego odzewu z ich strony, mogącego świadczyć o zgodzie na pogląd autora względnie jego zakwestionowanie.

Mimo tych, może aż nazbyt licznych „ale” nasuwających się przy rozważaniu wpływu na opinię publiczną publikacji z gatunku tu omawianych, frekwencja czytelnicza na portalu czy stronie i sięganie po konkretne obecne tam tematy pozwala na jedną przynajmniej konkluzję. Można na oparciu o to suponować wrażliwość społeczną na pewne zagadnienia, a to z kolei wskazuje na opcje bliskie przeciętnemu obywatelowi.

Pewne tematy poruszające problemy nurtujące społeczeństwo niezależnie od zróżnicowań wynikających z wieku, pozycji społecznej, wykształcenia, ewentualnie tradycji żywej w rodzinie, środowisku znajdują bez wątpienia liczniejszych odbiorców, aniżeli inne, nie mniej ważne, albo nawet ważniejsze, ale poruszające kwestie związane z przestrzeganiem zasad, względnie z wydarzeniami wzbudzającymi zainteresowanie pewnych kręgów społecznych. Może to być n. p. tematyka dominująca w określonych mediach.

Do problematyki poruszającej szersze grono odbiorców należą stale, mimo upływu dziesięcioleci, sprawy dotyczące II wojny światowej i okupacji. Zdjęcie szlabanu z tematów dotyczących agresji sowieckiej w 1939 r. i losu Polaków na wschodnich terenach Polski rozszerzyło dotychczasowe zainteresowanie skupiające się na zbrodniach niemieckich, na okupację sowiecką. Jednak, gdy chodzi o winę za wybuch wojny stale jeszcze wskazywane są Niemcy. Tak newralgiczne

punkty, jak Korytarz i Gdańsk, a także Westerplatte, Kampania Wrześniowa – to gdy chodzi o pierwsze momenty agresji niemieckiej – budzą zainteresowanie starszej i młodszej generacji Polaków. Manipulowanie zatem Gdańskiem jako kartą przetargową w polityce, a przy tym sięganie do dość świeżej tradycji, jaką jest sprawa Wolnego Miasta Gdańska jest niebezpieczne, gdyż zbyt mocno pachnie szukaniem korzyści dla określonej formacji politycznej lub ciasniej pojmowanego patriotyzmu lokalnego. Jest to polityka nie tylko, że niemądra, ale prowokująca komplikacje wynikające z ożywiania niemieckiej przeszłości Gdańska. Stąd właściwie bardzo zwężony i powierzchowny felieton poświęcony tej, obecnie drażliwej sprawie ma na blogu Niepoprawni.pl ponad 300 tysięcy odsłon.

Inna tematyka zawsze wzbudzająca zainteresowanie, to relacje polsko-żydowskie. W zasadzie porusza ona opinię publiczną głównie wtedy, kiedy hasłem staje się kolejna akcja określonych środowisk żydowskich wymierzona w Polskę i Polaków. Tu także można liczyć na frekwencję czytelniczą, niezależnie od tego, jaką wagę ma poruszany problem. Wielu Polaków nie wie dokładnie czym jest antysemityzm, bo młodzi nie spotykają po prostu Żydów, albo widza ich jako turystów, co nie wzbudza sensacji, nawet kiedy pojawiają się stroje chasydzkie. Większość Polaków styka się jednak z oskarżeniami Polski jako współwinnej za holokaust, a z drugiej strony wiedza historyczna, w społeczeństwie mocno skurczona, jest jednak na tyle żywa, że gdy chodzi o holokaust reperkusje w społeczeństwie polskim są dostrzegalne. Holokaust – nazwa tego smutnego zjawiska – jest nieścisła, i wydaje się, że jest to nieścisłość zamierzona. Ale nie o nazwę tu chodzi, a o to co faktycznie się stało. Eksterminacji Polaków tak się nie określa, gdyż nie poddali się oni bezwólnie losowi, ale podjęli walkę, podobnie zresztą jak część Żydów. Stąd holokaust wymaga zawsze uściślenia, do kogo się on odnosi. Losy Żydów i Polaków nie bardzo od

Ciąg dalszy na stronie 5

siebie odbiegały, choć wyrok wydany przez Niemców na Żydów był z wielu względów o wiele bardziej barbarzyński i okrutny aniżeli na Polaków, którym do czasu dano szansę przeżycia w kondycji niewolników. Tak ukształtowana historia przyciąga uwagę i nie można się dziwić, że tak jest.

Wrażliwość społeczną budzą także inne zagadnienia. Najogólniej rzecz biorąc są to działania na forum politycznym, zwłaszcza sposób manifestowania swych dezyderatów przez opozycję, która sama siebie określając jako totalitarną, przyjmuje stanowisko negatywne wobec każdej inicjatywy rządu. To z kolei prowadzi do wszczynania burd nie tylko ulicznych, ale także na terenie parlamentu.

Mniej zainteresowania przyciągają postaci z życia politycznego i tematyka kulturalna, w tym także oświata, co może wywoływać zdziwienie, ponieważ jest to dziś temat palący i wymagający szerokiej dysputy publicznej.

Żyjemy w rzeczywistości, w której priorytety są coraz bardziej zróżnicowane. Świadczy o tym nie tylko nadmierna mnogość stronnictw czy partii politycznych, w dodatku będących zjawiskami o krótkich żywotach i niejednoznacznych celach, nie mówiąc o jakiejś trwalszej bazie wyjściowej. Powstają z dziś na jutro i często przez noc śladu po nich nie ma. Często przywódcami są osoby o niejasnej przeszłości i jeszcze bardziej zagmatwanej konduicie. To pączkowanie życia politycznego i społecznego nie jest właściwie ani specjalnością polską ani czymś zaskakującym. Bardzo często po prostu ktoś wpada na pomysł, że mógłby zaistnieć na scenie publicznej i zgarnia jakąś ilość jemu podobnych, zaczynając swą przygodę na jednej kanapie, niekiedy rozsiadając się szerzej, innym razem z owej kanapy się schodząc.

To, co może dziwić tkwi w czymś zgoła innym. Trudno zrozumieć, że chęć udziału w takich przedsięwzięciach z biegiem czasu zgłasza pewna ilość osób i w takim przypadku grupa o takiej czy innej nazwie,

niekiedy wprost kuriozalnej, zaczyna samoistny, nie to, że krótki, żywot na scenie politycznej. Były już takie przedsięwzięcia jak PPPP – Polska Partia Przyjaciół Piwa, był Ruch Palikota, jest Wiosna, Nowoczesna, Teraz, Obywatele RP, a przecież to nie wszystko. Zadziwił mnie zawsze KOD – czy jeszcze istnieje? – będący organizacją o bardzo nieuchwytnym celu, a nawet można powiedzieć wprost, że sfingowanym, a twórca jej, mając niewątpliwie pewien talent estradowy, nie wzbudzał jednak zaufania, nie tylko z powody swych osobistych problemów, ale także pustostlowia, z którym prezentował swój program. Nic dziwnego, bo walczył o demokrację, dzięki której przecież mógł rozwijać swobodnie swą działalność, o nie zawsze jasnych celach. Jakąś alternatywą, może nie od razu, albo w ogóle, nie rozpoznaną, była Samoobrona Leppera. Wśród „führerów“, o których mowa, wyróżniał się on niewątpliwie jakąś charyzmą przywódcy i inteligencją. Postawił jednak na populizm o takim charakterze, jaki trwale nie potrafi znaleźć dla siebie miejsca. Lepper wykorzystał uwiad PSL, który trwa do dziś, a w czasie przepoczwarzania się tej formacji po latach PRL z SL w PSL, nie potrafił odzyskać wartości, z jakimi znalazł się w polityce w latach II Rzeczypospolitej.

Ten wysyp coraz to nowych partii politycznych spowodował daleko idącą dezorientację w społeczeństwie. Pod tym względem jest znacznie gorzej niż w latach komunizmu, kiedy dojrzałość polityczna była znacznie większa, co nie znaczy, że Polacy mieli spójny pogląd na sytuację w kraju i na to, co dzieje się na świecie. Jedno było bardziej niż dziś ugruntowane, to były podstawowe wartości kształtujące etos narodowy. Pod tym względem była to jak gdyby kontynuacja okupacji. Indyferentyzm polityczny i ideologiczny wprawdzie istniał, ale nie dawał o sobie znać w tak drastyczny sposób, jak to jest obecnie.

Bardzo wiele zamieszania w umysłach wprowadziła tzw. „europejskość”. Wszak

Ciąg dalszy na stronie 6

Noworoczne porzekadła

Jaki Nowy Rok, taki cały rok.

Gdy Nowy Rok mglisty - zjedzą kapustę glisty.

Gdy Nowy Rok w progi, to stary rok w nogi.

Gdy w Nowy Rok pluta, ze żniwem też będzie pokuta.

Jak Nowy Rok jasny i chłodny - cały roczek pogodny i płodny.

Na Nowy Rok pogoda, będzie w polu uroda.

Kiedy styczeń mokry trzyma, zwykle bywa długa zima.

Styczeń mrozi – lipiec skwarem grozi.

W styczniu burze i grzmoty – w lato mało roboty.

Kiedy w styczniu lato, w lecie zima za to.

Na święty Sylwester mroźno, zapowiedź na zimę groźną.

W noc sylwestrową łagodnie, będzie kilka dni pogodnie.

Gdy styczeń zamglony, marzec zaśniewiony.

Kiedy w styczniu lato, w lecie zima za to.

Minął wspaniały bal sylwestrowy, Nowy Rok budzi się z bólem głowy.

Nowy Rok nastaje, każdemu ochoty dodaje

nigdy człowiek rozsądnie myślący nie wątpił w to, że należymy do Europy, ale także nie czuł potrzeby wchłaniania tego, co ta Europa oferowała. Mamy swoją własną europejskość, ale rzecz w tym, że nie odpowiada ona normom, jakie narzuca – inaczej tego określić nie można, skoro ingerencja UE sięga także do światopoglądu – Europa z własnej woli odrzuca swą tradycję chrześcijańską, a tym samym tożsamość zakorzenioną w historii i obyczaju. Polska pod tym względem daleko odbiega od wymogów stawianych przez Brukselę, która rzekomo w obronie wolności, a w rzeczywistości, stawia wymogi w sposób apodyktyczny znany z czasów rządów totalitarnych. Można dzisiaj mówić o tępieniu śladów chrześcijaństwa, co szczególnie rzuca się w oczy w laicyzowanej na siłę Francji. Brutalne naciski w kierunku laicyzacji życia wywierane m. in. na Polskę i Węgry rodzą niepokój większości społeczeństwa, podczas gdy określone mniejszości ośmielają do agresywnego promowania antywartości i prób uchwycenia wychowania młodego pokolenia. Ruch LGBT nie ma nic wspólnego z obroną tzw. mniejszości seksualnych, gdyż propaganda gejo-lezbijska raczej mobilizuje część społeczeństwa dotąd nie dostrzegającą tego problemu do stanowisk negatywnych lub wręcz wrogich wobec tego zjawiska. Wspomniany ruch ma na celu oddziaływanie w kierunku wypaczenia młodzieży, która jedynie może się, zwłaszcza małe dzieci, dać uwieść tym wypaczeniom. Istotną wszakże sprawą, o którą walczą ludzie ogarnięci homoseksualizmem, teorią gender i propagandą takich postaw nawet w sposób tak niewybredny jak przez tzw. parady równości, przedstawiające żenujące zachowania i rozpowszechniające obrażające moralność i człowieka treści, jest walka z chrześcijaństwem i atakowanie Kościoła. Jest to zresztą dyktowane także bezczelnością opozycji totalnej, której te ruchy podszyte chorobliwie eksploatowanym seksem są najzagroźalszym sojusznikiem.

Splątanie się celów politycznych z próbami przebudowy tradycyjnej moralności w pozbawione hamulców rozpasanie stwarza dodatkowe komplikacje, gdyż ludzie promujący taki model życia publicznego muszą szukać wsparcia poza granicami kraju. To z kolei rodzi konieczność opłacenia owego poparcia, a cenę, tak na prawdę płaci Polska. Szukanie za granicą sojuszników przeciwko własnemu krajowi bez względu na to, kto nim rządzi, znane jest w historii, ale zawsze spotyka się z jednoznaczną, jako zdrada narodowa i godna potępienia prywatą. Stąd pojęcie „targowica” przyłgnęło już na zawsze do ludzi taki proceder uprawiających. Nie można wszakże zapominać, że „targowiczanie”, ci z XVIII wieku to była skorumpowana łapówkami brany od wrogów Rzeczypospolitej magnateria. Dziś są to inni ludzie, ale łapówki w takim procederze są zawsze i zawsze takie same.

Wiadomo, że opinię publiczną kształtują media i to wcale nie wszystkie i nie te często roszczone sobie prawo do rządu dusz. Większość publikatorów to głównie przedsięwzięcie biznesowe, co zresztą jest zrozumiałe. Niewielu czytelników zastanawia się nad wpływem właścicieli periodyków i stacji radiowych i telewizyjnych na treści w tych publikatorach przekazywane. A trzeba by sięgać dalej i szukać powiązań z wielką polityką i ideologiami tych osób czy konsorcjów. Media są domeną zawodowych dziennikarzy i tylko rzadko w czasopiśmie pojawiają się teksty ludzi „z zewnątrz”, przeważnie polityków czy ekspertów. Stąd też dobór tematów i wrażliwość na zjawiska społeczne jest nie tylko ograniczona, ale wyraźnie sterowana przez różne czynniki, a w pierwszym rzędzie mocodawców, którym dane medium świadczy usługi lub od których ma utrzymanie.

Przypomnienie tych kardynalnych prawd na temat mediów, ich natury i roli przez nie pełnionej jest potrzebne na tym miejscu, gdyż aczkolwiek media są opiniotwórcze, to jednak nie oddają one vox populi, a najczęściej nawet się w ten głos nie

wsluchują. Po prostu mąci on obraz, jaki medium chce ukształtować. Najłatwiej to zilustrować na przykładach mediów „partyjnych” lub działających w reżimach totalitarnych i korzystających ze swobody w ramach cenzury i w zgodzie z narzuconą społecznością racją stanu. Tak działały niektóre pisma tzw. katolickie w czasie PRL, jak choćby „Słowo Powszechne”, lub koncesjonowane, jak „Tygodnik Powszechny”. Miały one tyle swobody wypowiedzi, ile przewidywał aktualny zapis cenzury.

Rzadko zatem i niezależnie od panującego porządku społecznego, media dają sposobność wymiany myśli z odbiorcami. Nawet radio czy telewizja, stosujące określoną selekcję dopuszczanych go głosu spośród owego vox populi niewiele tu zmieniają.

Od pewnego czasu możliwości w tej dziedzinie stwarzają licznie powstające portale internetowe, gdzie blogerzy, zatem najczęściej osoby spoza kręgów zawodowych dziennikarzy czy publicystów, zabierają głos i nie zawsze wprawdzie, ale bardzo często oddają nastroje społeczne i stan opinii publicznej, wprawdzie przepuszczony przez sito nieodczownego subiektywizmu, ale stanowiący autentyczny odzew na to co dzieje się na szeroko pojmowanej płaszczyźnie życia publicznego i co relacjonowane jest i oceniane w mediach profesjonalnych.

Sposób i forma działania wymienionego wyżej publikatora jest dość zróżnicowany. Bardzo często do wypowiedzi dopuszcza się zarówno osoby pragnące ukryć siebie za jakimś bardziej lub mniej czytelnym pseudo, jak i tych, którzy piszą sygnując się własnym nazwiskiem. Ponieważ treści umieszczane na blogach są z reguły opatrywane komentarzami czytelników, nieuniknione jest pojawianie się komentarzy o zaskakujących treściach, bardzo często zdradzających grafomaństwo autora nie mającego

odwagi prezentowania swych produktów pod własnym nazwiskiem. Niektórych skłania to do dania upustu własnej frustracji, co prowadzi do chamskich wycieczek pod adresem blogera lub stwarza okazję do wszczynania pyskówek z innymi autorami uwag, przy czym nie ma to żadnego odniesienia do komentowanego tekstu. Takich wpisów nie byłoby w ogóle lub stanowiłyby wyjątek, gdyby ich autorzy musieli ujawnić swą tożsamość i w jakiś sposób odpowiadać za to co piszą. Rzecz jasna, że także blogerów byłoby o wiele mniej, ale za to treść ich wypowiedzi byłaby bardziej wyważona, a może także wolna od wulgaryzmów.

Te dezyderia, aczkolwiek słuszne i warte uwzględnienia są jednak głosem wołającego na pustyni. Portale nie zrezygnują z wpisów anonimowych, gdyż dla wielu byłyby to właściwie koniec działalności. Ponadto w wielu przypadkach chodzi o prowokowanie wypowiedzi służących jakiejś sprawie czy komuś konkretnemu. Z drugiej strony, ktoś komu zależy na poważnym uczestniczeniu w debacie publicznej, a nie traktuje tego jako upustu dla swej frustracji czy bezkarnego atakowania bliźnich, w końcu rezygnuje z tego typu publikatora ze względów etycznych i braku akceptacji dla anonimowych manifestacji opinii.

Do Niepoprawnych.pl trafiłem przypadkowo, wysyłając emailiem artykuł do pewnego czasopisma. Nie wiadomo dlaczego zamiast odpowiedzi z redakcji przyszedł email od Niepoprawnych.pl dziękujący za przesłany tekst i zapraszający do współpracy. Dotąd nie wiem, jak to się stało, że artykuł nie zawędrował tam, dokąd zamierzałem go posłać. To był rok 2015, a wspomniany artykuł ukazał się 8 listopada tegoż roku. Tak to się zaczęło i trwało do lipca 2019 r. W sumie zamieściłem tam około 190 felietonów. Każdy był podpisany moim nazwiskiem i moje krótkie cv zmieszczone było jako prezentacja autora. Niepoparni.pl publikuje

wypowiedzi zdradzające bardzo zróżnicowane poglądy autorów. Niektóre można by z powodzeniem zapisać na konto opozycji różnego autoramentu, nie wykluczając tej najsłabszej. Olbrzymia większość wpisów wszakże prezentuje poglądy prawicowe, o ile to słowo coś w ogóle jeszcze znaczy? Wiele felietonów – tak nazwałbym teksty publikowane na Niepoprawnych.pl zdradza dużą wiedzę autorów na podejmowany temat. Niestety, równie często górę biorą emocje, co w dużej mierze dyskwalifikuje skądinąd trafne sady i refleksje.

Pozostawiam na boku ocenę strony redakcyjnej portalu. Satyra gości tam często w postaci najczęściej udanych grafik i rycin. Ich wymowa ideologiczna i polityczna jest jednoznacznie prawicowa i patriotyczna.

Wśród wypowiedzi zamieszczonych na Niepoprawni.pl wiele jest impresji osobistych piszących, ale są też teksty materiałowe zawierające niekiedy bardzo kompetentną wiedzę na temat wydarzeń politycznych, czy zjawisk społecznych, nierzadko także poruszające sprawy dotyczące konkretnych osób, polityków, celebrytów, słowem postaci życia publicznego. Anonimowość wypowiedzi w pewnym sensie gasi ewentualne reperkusje tych publikacji, trudno bowiem walczyć z cieniem. O celności publikacji świadczyć może – choć także z zastrzeżeniami – ilość wejść czytelników na dany tekst. Tutaj warto zauważyć, że felietony na tematy ważne dla życia publicznego mniejsze powodują zainteresowanie aniżeli takie, które zajmują się problematyką będącą w obiegu społecznym, choć może w gruncie rzeczy mniej znaczące. Ważną rolę w częstotliwości recepcji ma tytuł felietonu. Zdarza się jednak, że treść jaką on zapowiada nie zaspakaja oczekiwań jakie budzi.

Tematyka związana z życiem politycznym, zawirowaniami, jakie w nie wprowadza agresja opozycji, której działania obliczone są nie na naprawę instytucji państwa, ale na ich obezwładnienie. Jeszcze więcej emocji wzbudza sięganie przeciwników aktualnej władzy po wsparcie czynników zagranicznych, co nasuwa analogię z

„targowicą”. Widać, że społeczeństwo, ta jego część, której na sercu leży dobro Ojczyzny z wielką surowością ocenia machinacje polityków, mających ewidentnie na celu wyłącznie własne korzyści i głównie po nie wyciągają oni ręce pretendując do sprawowania władzy. Publikacje ukazujące się na Niepoprawni.pl demaskują te machinacje i wielka szkoda, że być może nie oddziałują na szerszy ogół. Jedyne częstotliwość ich przywoływania przez czytelników coś na ten temat mówi. W tej książce wybrano spośród 190 felietonów opublikowanych na blogu Niepoprawni.pl. Do książki wybrano tylko te, które miały więcej niż 9 tysięcy wejść. **Ogółem jest to 19 felietonów. W sumie wszystkie teksty tutaj uwzględnione miały 735 563 wejścia.** Można zatem mówić o szerokim wachlarzu zainteresowania podjętą tu problematyką.

Wszystkie felietony zamieszczone w tej książce ukazały się także w czasopiśmie wydawanym w Nowym Meksyku pod tytułem Polonia Semper Fidelis. Dwutygodnik (dotąd ukazało się 172 numery). Duszą pisma i jego redaktorem jest pan Stanisław Matejczuk, kiedyś absolwent historii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Przechodząc pokrótce do omówienia moich publikacji – głównie tych kilkunastu, którymi na tym miejscu chciałbym się bliżej zająć – pragnę wstępnie zaznaczyć, że ich przedmiotem jest państwo oraz osoby i instytucje wspierające jego funkcjonowanie lub też stosujące wobec niego bezwzględna obstrukcję, bez jakiegokolwiek alternatywy dla programu rządowego.

Ponieważ sytuacja taka trwa na przestrzeni czasu, jaki obejmuje moja współpraca z portalem, zatem każdy z tematów ma niejako swój dalszy ciąg sięgający do dnia dzisiejszego, potrzeba będzie dopisanie jakiegoś bieżącego komentarza do każdego z tekstów.

Zygmunt Zieliński

Mija kolejny rok. Właściwie już minął, bo do roku 2020 pozostało kilkanaście godzin. Jakim był kończący się 2019 ? Czy zapadnie nam jakoś w pamięć ?

Robiąc coś w rodzaju rachunku sumienia, odnośnie mijającego roku trudno znaleźć jakieś fajerwerki, czy wydarzenia, które wbiłyby się w pamięć. Ogromną większość czasu zajęły przepychanki wyborcze w ramach kampanii najpierw do eurokołchozu, a następnie do Sejmu i Senatu RP. Przez wiele miesięcy wysłuchiwalimy obietnic i obrzucania się wzajemnego inwektywami. Właściwie nie wiadomo, czego było więcej. Po stronie tzw. opozycyjnej tworzyły się różne koalicje, bardzo często egzotyczne. Politycznie była to baza wszystkiego, co się w Polsce działo.

Nie pierwszy raz PO pokazało swoje prawdziwe oblicze, w którym nie liczy się nic, poza władzą za wszelką cenę. W eurokołchozie, staraniem jej przewodniczącego Grzegorza Schetyny zasiedli czołowi PZPRowcy, co doprowadziło również do ich powrotu do ław sejmowych i Senatu w wyborach w Polsce. Nie wróży to niczego dobrego na przyszłość.

Wybory do Sejmu i Senatu zakończyły się swoistym patem. Niby obóz rządzący utrzymał niewielką przewagę w Sejmie, tracąc przy tym większość w Senacie. I na nic się zdadzą propagandowe argumenty, że i tak w razie powrotu jakiegokolwiek ustawy z Senatu (odrzuconej) i tak w Sejmie jest większość i takowa ustawa zostanie uchwalona. Rokuje to tylko wielkie kłopoty, a i wcale nie ma pewności czy tak w istocie będzie. Obstrukcja tzw. opozycji będzie sięgała zenitu, a wieczne odwoływanie się do zagranicy z

pewnością jedynie utrudni wszelkie prace.

Oczywiście, na taki chaos liczy kasta sędziowska, która usadowiła się w polityce Targowicy, broniąc własnych przywilejów. Ulica i zagranica jest jej główną bronią, którą władza z zacięciem wrogów Państwa Polskiego. Taka sytuacja nie jest na dłuższą metę możliwa do utrzymania jakiegokolwiek praworządnego państwa.

Wszystkie dziedziny życia są jednak takie, jakimi czynią je obywatele. Tutaj jednak dochodzi do wielkiego ataku ideologicznego satanizmu. Właśnie w mijającym roku 2019 widzimy jego skalę. Czasami jest to genderyzm z różnymi zboczeniami LGBT, czasami modny ostatnio ekologizm czy wreszcie idiotyczny feminizm. Nie wiadomo, co gorsze. Każdy ruch tych ideologii działa jednak w tych samych ramach i wynika z tych samych korzeni.

Degrengolada umysłowa Polaków (podobnie jak i innych nacji) postępuje coraz szybciej. W czasach komunizmu oparciem Narodu były rodziny i Kościoły. Dzisiaj obie te instytucje są coraz słabsze. Główne uderzenie ideologii satanistycznych poszło w kierunku rodzin, a zwłaszcza ograniczenia władzy rodzicielskiej. Z kolei Kościół jakby starał się utrzymać jakiś środek pomiędzy Ewangelią a polityczną poprawnością. Nie każdy kapłan ma odwagę głosić prawdę, nie każdy nazywa się arcybiskupem Jędraszewskim.

W mijającym roku agresja sił satanistycznych przeciwko Polsce, rozłożonych w lewackich bytach politycznych nasiliła się do niespotykanych dotąd rozmiarów. Jest to niewątpliwie część skoordynowanego ataku tych sił na świat, zasilanych wielkimi

pieniężnymi Sorosa, Buffetta, Gatesa i im podobnych. Cel jest jeden: zniszczyć wartości i więzi. Nasz Ojciec Święty Jan Paweł Wielki wielokrotnie podkreślał, że najważniejszą komórką społeczną jest rodzina, bo w niej pielęgnuje się to, co najlepsze dla człowieka. To samo podkreślał Prymas Tysiąclecia ks. Kardynał Stefan Wyszyński. Niestety, ich nauki są zacierane, często przez przedstawicieli Kościoła.

Czy jest szansa, że nadchodzący rok 2020 będzie jakimś przełomowym ? Raczej trudno na to liczyć. Słabość obozu rządzącego i jego pobłażliwość dla bezprawia nie napawają optymizmem. Dodatkowo, nad wszelkimi decyzjami wisi miecz eurokołchozu. Polska nie jest państwem niepodległym, pomimo że oficjalna propaganda wręcz nachalnie wpiera nam taki punkt widzenia. O ile nie nastąpi rzeczywisty zwrot ku wartościom, nie ma co liczyć na jakakolwiek poprawę na tym polu.

Jaki zatem był ów mijający rok 2019 ? Najkrócej ujmując nie był on ani lepszy ani gorszy od poprzedniego. Tym niemniej jednak niepokój musi budzić ogromne nasilenie ataków przeciwko wartościom i tradycji. Ten trend z pewnością będzie kontynuowany w nadchodzącym roku i na to musimy być przygotowani. Groźba jest tym poważniejsza, że antypolskie mechanizmy finansowe zaczynają się coraz mocniej gromadzić na horyzoncie. Pewien optymizm jednak musimy mieć a jest nim wewnętrzna postawa Polaków, którzy w dziejach przechodzili przez kolejne zagrożenia. Oby tylko młode pokolenie nie dało się zwieść na manowce satanistycznych ideologii. I tym optymizmem chcę się podzielić na Nowy Rok 2020 !

Roman Skalski

Pali się wieżowiec. Ludzie zebrali się na dachu. Na dole znalazł się Bohater i krzyczy, żeby skakali. Pierwsza odważna osoba skoczyła. Bohater złapał ją i postawił na ziemi. Druga osoba skoczyła. Bohater złapał ją i postawił na ziemi. Jako trzeci skacze murzyn. Bohater zwinnie się usunął, murzyn grzmotnął o ziemię. Bohater wrzeszczy:

- Ej ! - ale spalonych nie rzucajcie !

Po tańcu chłopak dziękuje partnerce:

- Dziękuję za taniec. Świetnie się bawiłem.

- Ale ja przecież kiepsko tańczę - kryguje się dziewczę.

- Ale za to jak śmiesznie !

Kiedy kończy się feminizm ?

- Gdy trzeba wnieść szafę na ósme piętro.

Żona żali się mężowi:

- Kazik czemu ja mam ciągle tyle roboty w mieszkaniu !?

- Spisz w nocy to Ci się zbiera !

Piątego grudnia kilkuletnia Małgosia, kładąc się do łóżka, mówi do dziadka:

- Kiedy rano się obudzę, chciałabym znaleźć w swoim łóżku piękną,

jasnowłosą laleczkę !

- Ja też bym chciał... - wdycha dziadek.

Pogrzeb - wdowa chowa swego męża.

Grabarz pyta:

- Ile lat miał mąż ?

- 98.

- A pani ile ma ?

- 97.

- To opłaca się pani wracać do domu ?

W przychodni NFZ:

- Chciałbym się zapisać na rehabilitację.

- Ale wolne terminy są dopiero za rok.

- Ale ja nie wiem, czy tak długo pożyję !

- To zapiszę pana ołówkiem i najwyżej wygumuję.

Stoi dziennikarz pod budką Lotto i robi wywiady.

Podjeżdża facet trabantem, dziennikarz przyskakuje i pyta:

- Co Pan zrobiłby z główną wygraną ?

Facet myśli i mówi:

- No to większe mieszkanie, Matiza.

- A reszta ?

- Reszta na konto.

Podjeżdża facet Matizem. Dziennikarz znów pyta:

- Co Pan zrobiłby z główną wygraną ?

- No to jakiś dom, Mercedes.

- A reszta ?

- Reszta na konto.

Podjeżdża facet Mercedesem AMG

Dziennikarz ponawia pytanie.

- Taaak, no to spłaciłbym skarbówkę,

potem ZUS.

- A reszta ?

- A reszta niech czeka !

- Moja siostra jest chora na szkarlatynę - oznajmia Jasio w szkole.

- To wracaj do domu, bo mi zarazisz całą klasę - poleca wychowawczyni.

Po dwóch tygodniach Jasio pojawia się na lekcjach.

- I co, siostra wyzdrowiała ?- pyta się nauczycielka.

- Nie wiem, jeszcze nie pisała.

- To gdzie ona jest ?

- W Niemczech.

- Kochanie, zebrałam całą torbę swoich ubrań do oddania potrzebującym.

- Po co ? Nie prościej jest je wyrzucić ?

- Wyrzucić? Przecież są na świecie biedni i głodni ludzie, którym mogą się one przydać.

- Uwierz mi, nikt, na kogo będą pasować twoje ciuchy, nie jest głodny.

Weterynarz dzwoni do Kowalskiej:

- Jest u mnie pani mąż z psem i prosi o uspienie. Zgadza się pani na to ?

- Oczywiście, psa może pan puścić wolno, zna drogę do domu.

Zabrał chłopak dziewczynę do drogiej restauracji. Siadają przy stoliku. Kelner podaje im menu. Chłopak patrzy na kosmiczne ceny, jednak nie traci zimnej krwi i pyta dziewczynę:

- To na co masz ochotę, mój ty słodki grubasku ?

W drodze na ślub niedoszła para młoda zginęła w wypadku samochodowym. Trafiła do niego i pytają się świętego Piotra czy mogą wziąć ślub tutaj w niebie.

- Nie wiem, jest to pierwszy raz kiedy ktoś o to mnie zapytał. Poczekajcie dowiem się.

Święty Piotr odchodzi. Para usiadła i czeka, czeka. Minęły dwa miesiące a świętego Piotra dalej nie ma. Czekając zaczęli się zastanawiać a co by było gdyby im nie wyszło, czy można wziąć rozwód w niebie?

Po miesiącu pojawił się święty Piotr.

- Tak. Informuję, że można wziąć ślub w niebie.

- Wspaniale - Odpowiedziała para. Ale jak cię nie było zastanawialiśmy się co będzie jak nam nie wyjdzie. Czy można w razie czego uzyskać rozwód w niebie ?

- Zwariowaliście ? 3 miesiące zajęło mi znalezienia tutaj księdza. Czy macie pojęcie ile zajmie mi znalezienie tutaj prawnika ?

Przychodzi facet do kościoła na spowiedź, klęka przy konfesjonale i mówi:

- Ojcze, zgrzeszyłem !

- A w jaki sposób zgrzeszyłeś ?

- Kłamałem.

- Oj, Synu ! Toż to grzech ciężki ! A, powiedz mi kogo okłamałeś ?

- Okłamałem żonę!

- Oj, to jeszcze cięższy grzech. A co jej takiego powiedziałeś ?

- Powiedziałem, że ładnie wygląda.

- Synu, to nie jest grzech ! To samoobrona !

Chodząc po galerii handlowej pomyślałem, że mógłbym kupić żonie zegarek na urodziny. Jednak w porę przypomniałem sobie, że ma już jeden na piekarniku.

Po randce:

- Czy odprowadzisz mnie do domu Romanie ?

- Tak, wzrokiem.

Violette Buschell, piękna dziewczyna, córka francusko-angielskiego małżeństwa, w 1940 roku poznała przystojnego oficera francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Nazywał się Etienne Szabo i pochodził z rodziny węgierskich emigrantów. Dziesięć dni po ślubie kapitan Szabo, wyjechał z oddziałami Wolnych Francuzów do Afryki. 24 października 1942 roku zginął pod El Alamein. Nigdy nie zobaczył urodzonej w 1942 roku córki. Przedkładając zemstę nad macierzyństwo, młoda wdowa wstąpiła w szeregi SOE. Kurs strzelecki ukończyła z pierwszą lokatą. Od tej pory czekała niecierpliwie na dzień, w którym zobaczy w celowniku swego karabinu zielonoszary mundur.

*

Kiedy 26 czerwca 1921 roku w Levallois-Perret pod Paryżem państwu Charlesowi i Reine Leroy – Buschell urodziła się córeczka, nadali jej imiona Violette Reine Elizabeth. Violette – z racji fioletowego koloru oczu, Reine, czyli „królowa”, nawiązywało do tradycji rodzinnej matki, zgodnie z którą wszystkie dzieci w rodzinie Leroy nosiły imiona związane z królem lub królową. Nic nie zapowiadało wtedy, jak wiele cierpień będzie musiała przejść Violette w swoim krótkim, tragicznym życiu.

Pan Charles, kierowca taksówki, był Anglikiem, pani Reine – Francuzką. Aczkolwiek bardzo ładna i kobieca, niewysoka - 5 stóp i 5 cali wzrostu według rejestru SOE (165 cm.) – Violette od dziecka przedkładała nad lalki typowo chłopięce zabawy i sporty. Ze starszym bratem Royem rywalizowała w pływaniu i akrobatyce sportowej, i zawsze wygrywała. Z trzema młodszymi: Johnem, Noelem i Richardem wspinała się po drzewach, wykazując w tym dużo większą od nich sprawność. Odznaczała się wyjątkową odwagą, była bystra i rezolutna. Kuzynka wspominała ją jako wesolą, pełną szalonych pomysłów dziewczynkę:

„Miała w sobie ducha przygody. Ciągle



VIOLETTE SZABO
(1921 - 1945)

robiła rzeczy niedozwolone, niebezpieczne. Nie mogłam nigdy za nią nadążyć ani jej zrozumieć. Ale podziwiałam ją za jej odwagę. Nie bała się niczego. I wszystko jej się zawsze udawało. A ja bałam się o nią i nie mogłam zrozumieć, jak ona to robi”.

W 1932 roku rodzina państwa Buschell, wraz z jedenastoletnią Violą i jej rodzeństwem, przeniosła się do Londynu, zamieszkując na Stockwell Road pod numerem 18, w biednej, południowej dzielnicy Braxton. Pani Reine dbała o to, by jej córka nie zapomniała ojczystego języka. Dziewczynka mówiła więc płynnie po francusku, chociaż z lekkim angielskim akcentem.

„Byłam zawsze pod wrażeniem jej silnej woli, pewnych cech przywódczych i tego, jak potrafiła zmieniać się jej osobowość – wspominała Violette jedna z nauczycielek. – Czasami odnosiło się wrażenie, jakby była istotą nie z tego świata, szczególnie, kiedy opowiadała z przejęciem o Francji, za którą wyraźnie tęskniła. Wtedy jej ogromne fioletowe oczy nabierały blasku zdawały się zmieniać kolor”.

„Była bardzo sprawna i silna fizycznie –

opowiadał z kolei jej trener gimnastyki. – W wielu konkurencjach dużo sprawniejsza od chłopców”.

Violette uczyła się dobrze, ale jej niepokorna natura sprawiła, że w wieku 16 lat porzuciła szkołę. Na nic zdały się prośby i błagania rodziców, panna Buschell pragnęła samodzielności i finansowej niezależności. Podjęła pracę jako asystentka w salonie fryzjerskim, później w magazynie sklepowym Woolwortha, a na koniec w drogerii Le Bon Marché. Tam poznała pewnego przystojnego kapitana Legii Cudzoziemskiej. Nazywał się Etienne Michel Rene Szabo i był Francuzem węgierskiego pochodzenia.

Zgodnie z zasadami węgierskiej pisowni nazwisko to wymawia się „Sabo”, jako że w języku węgierskim - całkowicie odmiennym od większości języków, którymi posługują się cywilizowani ludzie, przynajmniej na kontynencie europejskim - „sz” czytamy zawsze jako „s”, „s” zaś jako „sz”. Nieprzestrzeganie tej reguły grozi wpadką, której doświadczają często zagraniczni turyści podróżujący do miasta Szeged. Wymawiając nazwę tego uroczego miejsca dosłownie, jako Szeged, nie zaś „Seged”, artykułując w rzeczywistości wulgarną nazwę tylnej części человеческого ciała. Seged po węgiersku (czytaj szeged), znaczy dokładnie: dupa.

Legia Cudzoziemska utworzona została na mocy dekretu króla Francji Ludwika-Filipa 10 marca 1831 roku, głównie w celu utrzymywania porządku we francuskich koloniach. Do dzisiaj zresztą posiada zakaz prowadzenia działań bojowych na terenie samej Francji. Wysyłana jest zwykle w najbardziej zapalne tereny, gdzie stanowi pierwszą linię frontu lub prowadzi działania poza jego linią. Formalnie mogą w niej służyć wyłącznie obywatele obcych państw. W praktyce jednak od pięciu do dziesięciu procent żołnierzy stanowią rodowici Francuzi, którzy dostają przy rekrutacji obywatelstwo Belgii, Szwajcarii bądź Luksemburga. Jednymi z pierwszych byli ochotnicy z Polski, wówczas pod zaborami oraz ze Szwajcarii słynącej z

Ciąg dalszy na stronie 11

najemnego wojska a także z Hiszpanii, Włoch czy Niemiec. Od momentu jej utworzenia do dzisiaj, walcząc w szeregach Legii Cudzoziemskiej śmierć poniosło 35 781 żołnierzy.

Pomiędzy Violette, a starszym od niej o dwanaście lat mężczyzną - ona miała 19 lat, on 21 - wybuchła płomienna i szaleńcza miłość. Pobrali się po 42 dniach znajomości, 21 sierpnia 1940 roku w Aldershot. Dziesięć dni później Etienne Szabo dołączył do swojego oddziału – 13 Pułku DBLE (Demi Brigade Légion Etrangère) i wyjechał do Afryki bić się z Niemcami.

Violette również uznała, że w sytuacji, kiedy wróg zniewolił jej jedną ojczyznę i zagroził drugiej, nie może stać bezczynnie. Wstąpiła do ATS (Auxiliary Transport Service) – Pomocniczej Służby Transportowej. Wozila wysokich rangą oficerów, zawsze chętnych do nawiązania z nią flirtu, oraz różne przesyłki, na szczęście dużo mniej kłopotliwe. Zakochana po uszy, czekała na powrót męża. Pozostały jej tylko pustka i coraz silniejsza tęsknota. Codziennie z utęsknieniem wypatrywała listonosza. Każdy dzień oddalał ją od ukochanego coraz bardziej, nikt nie wiedział kiedy znowu się spotkają.

Po roku Etienne Szabo przyjechał na krótki urlop, który spędzili razem w hotelu „Ambasador” przy Queen Square Liverpoolu. Założyła ciemne okulary, by nie widać było łez kapiących jej z oczu ze szczęścia. Przez następny tydzień nie liczyło się dla niej nic więcej, tylko obecność i bliskość Etienne’a.

Ostatniego ranka, tak jak sobie obiecali, nie rozmawiali już o wojnie i rozstaniu. Pożegnali się tak, jakby jutro znowu mieli się zobaczyć. Jeszcze przez chwilę widziała jego plecy, kiedy podążał w stronę czekającego nań pod kolumną Wellingtona samochodu, starając się utrwalić ten obraz w pamięci, jak najcenniejszą fotografię. Nie wiedziała wtedy, że będzie jej musiał wystarczyć na całą resztę życia...

„Wojna nie jest wcale prawdziwą przygodą – napisał wielki rodak Violette, Antoine de Saint Exupery. – Jest tylko jej namiastką. Przygoda polega na bogactwie powiązań, jakie stwarza, problemów, jakie stawia, dzieł, które dzięki niej powstają. Aby zmienić w przygodę zwykłą grę w orla czy reszkę, nie wystarczy zaryzykować w niej życia. Wojna nie jest przygodą. Wojna jest chorobą. Jak tyfus.”

Napisał również:

„Umiera się za dom. Nie za sprzęty i mury. Umiera się za katedrę. Nie za kamienie. Umiera się za naród, nie za tłum. Umiera się z miłości do Człowieka, jeśli on jest podstawą wspólnoty. Umiera się jedynie za to, dla czego można żyć”.

Jesienią z Afryki nadszedł list: „Z przykrością zawiadamiamy Panią, że kapitan Etienne Szabo zginął śmiercią bohatera 24 października 1942 roku pod El Alamein”. Jak porażona gromem, Violette długo nie mogła oprzytomnieć z odrętwienia. Córeczce, która urodziła się cztery miesiące wcześniej, 8 czerwca, nadała imię Tania. Zanim ów brzemienny w wydarzenia rok 1942 dobiegł końca, zastukała do drzwi biura rekrutacyjnego Zarządu Operacji Specjalnych (SOE), mieszczącego się w niewielkim pokoiku „Northumberland Hotel” w centrum Londynu.

- Ma pani małą córeczkę – powiedział przyjmujący oficer. Czy pani to wszystko dobrze przemyślała? Ryzyko przy tego rodzaju działalności, którą prowadzimy, jest ogromne. Ceną może być życie...

- Mój mąż został zabity przez Niemców – odpowiedziała patrząc mu prosto w oczy. – Jestem mu chyba coś winna. Chcę walczyć. Proszę mnie przyjąć.

Coś, jakiś dziwny błysk w jej fioletowych oczach kazał majorowi Charlesowi Potterowi uwierzyć, że to postanowienie jest równie niewzruszone, jakby zostało wyryte w marmurze.

Na początku sierpnia 1943 roku oddała roczną Tanię pod opiekę babci i na trzy tygodnie wyjechała na specjalistyczne

szkolenie agentów SOE do Winterfold. Uczyła się tam czytania map, obsługiwania radiostacji, posługiwania się szyfrem, zacierania śladów i innych umiejętności, niezbędnych tajnemu agentowi. Kurs obejmował również intensywne ćwiczenia wyrabiające wytrzymałość i kondycję fizyczną oraz walkę wręcz.

Kolejne trzy tygodnie spędziła w Szkocji, ucząc się strzelać ze wszystkich rodzajów broni, cicho zabijać, podkładać ładunki wybuchowe i konstruować bomby zapalające z domowych chemikaliów. Instruktor strzelania, porucznik Aleksander Ihnatowicz, był wprost zachwycony talentem i umiejętnościami Violette w tym zakresie. Była również najbardziej wysportowana i miała najlepszą kondycję fizyczną ze wszystkich agentek SOE.

17 października wysłano ją na trzeci, końcowy etap szkolenia, odbywający się w Ringway – kurs spadochronowy. W końcu uznano, że jest odpowiednio przygotowana do akcji na terytorium wroga. Wcześniejsze wysłanie do Francji uniemożliwiła jednak odniesiona podczas treningu skoków spadochronowych kontuzja kolana.

W księżycową, jasną noc, 6 kwietnia 1944 roku Violette wsiała co ciasnej kabiny samolotu „Lysader”. Godzinę później wylądowała na leśnej polanie w rejonie Rouen. Jako kurierka „Louise” miała wesprzeć członków siatki wywiadowczej „Salesman”, zdziesiątkowanej niedawno przez gestapo: nawiązać kontakty i przywrócić łączność ocalałych bojowników z centralą w Londynie.

We Francji mało kto słyszał o Special Operations Executive: przysłoniły ją sławne czyny gaullistowskiego i komunistycznego Ruchu Oporu. Jednak bez tych tysięcy francuskich i brytyjskich agentów, którzy przeniknęli na okupowane terytorium, uczestnicy Ruchu Oporu spod znaku krzyża lotaryńskiego zostaliby bez broni, bez pieniędzy i bez łączności. Gdyby nie SOE, powstańcy nie związiliby w Bretanii elitarnych oddziałów

Wehrmachtu, tak bardzo potrzebnych Niemcom w Normandii. Gdyby nie SOE, dywizja „Das Reich” szybciej doszłaby do plaż północnej Francji i prawdopodobnie przechyliłaby szalę zwycięstwa na stronę nazistów. Przez pięć lat SOE wysłała przeszło pięć tysięcy agentów za linie wroga.

Dwukrotnie Violette wpadała w niemieckie zasadzki i dwukrotnie zdołała uciec. Rozzuchwiała się do tego stopnia, że pojechała do Paryża, gdzie kupiła prezenty dla najbliższych, a dla Tani i dla siebie – piękne sukienki.

Wobec coraz bardziej niebezpiecznej sytuacji w regionie Rouen – Le Havre, dowództwo SOE zdecydowało się odwołać ją do Londynu. Wysłany wcześniej przez Violette raport, dotyczący usytuowania zakładów produkujących dla Niemców amunicję, pozwolił samolotom RAF-u na precyzyjne zlokalizowanie celów i dokładne umieszczenie bomb tam, gdzie potrzeba. Po powrocie do Anglii – 30 kwietnia – Zarząd Operacji Specjalnych, uznając jej spryt i odwagę podczas wykonywania powierzonych misji wywiadowczej, mianował Violette Szabo na stopień podporucznika.

Miesiąc później miała polecieć do Francji po raz drugi, lot odwołano jednak z powodu fatalnych warunków pogodowych. Kilka dni później, wiozący na swym pokładzie Violette i kilku innych agentów „Lysander” dotarł wprawdzie do wyznaczonego celu, na miejscu lądowania nie pojawił się jednakże „komitet powitalny” Resistance, wobec czego samolot zawrócił. Czy była to jakaś tajemna zмова sił natury, czy może ostrzegawczy sygnał niebios przed ryzykiem następnego lotu Violette Szabo?... Co by to nie było, Violette nie zamierzała jednak spędzić reszty wojny za biurkiem w Londynie.

„Violette siedziała koło hangaru w Tempsdorf, ubrana w białą-niebieską, letnią sukienkę – wspominała ją Nancy Roberts, sekretarka Sekcji Francuskiej SOE. – Była zupełnie spokojna. Podśpiewywała swoją ulubioną piosenkę:

I'll be around. Pamiętam, jakby to było dzisiaj... I wciąż zastanawiam się, co skłoniło tę młodą, piękną kobietę, matkę małego dziecka, do wykonywania tak niebezpiecznych zadań? Co dawało jej nadludzką odwagę do podejmowania się tych misji?”

W nocy z 8 na 9 czerwca, czterdzieści osiem godzin po rozpoczęciu operacji „Overlord” – lądowania aliantów na plażach w Normandii, czwórka agentów wyskoczyła na spadochronach z amerykańskiego „Liberatora” w pobliżu wioski Sussac, na południowy wschód od miasta Limoges. Byli to: Philippe Liewer ps. „Stanton” – spec od materiałów wybuchowych i broni, Robert Maloubier, „Mortier” – operator radiostacji, Jean Gauet, „Virgile” – jedyny Amerykanin we francuskiej sekcji SOE, oraz Violette Szabo.

Wczesnym świtem, dnia 6 czerwca 1944 roku, który już na zawsze wszedł do historii jako Dzień „D” (D-Day), rozpoczęła się operacja „Overlord” – inwazja aliantów na Europę. Do normandzkich plaż podpłynęła największa armada, jaką kiedykolwiek oglądał świat – niemal pięć tysięcy okrętów, transportujących ponad dwieście tysięcy żołnierzy, marynarzy i marines. O godzinie 6.30, na sześciu inwazyjnych plażach, oznaczonych kryptonimami: „Utah”, „Omaha”, „Gold”, „Juno” i „Sword”, rozpętało się piekło. Po zdobyciu i skonsolidowaniu przyczółków przez aliantów oraz przesunięciu przez Niemców w rejon inwazji posiłków nastąpił okres względnej równowagi sił i stabilizacji frontu, podczas którego główny punkt ciężkości stanowiły walki o Caen. Nowy etap działań zapoczątkowała przeprowadzona pod koniec lipca Operacja „Cobra”, gdy Amerykanie przełamali front i wyszli na tyły niemieckich armii w Normandii. Kulminacyjny moment kampanii stanowiła rozegrana w dniach 7-21 sierpnia bitwa pod Falaise, w której znaczącą rolę odegrała polska 1 Dywizja Pancerna dowodzona przez generała Stanisława Maczka, wchodząca w skład II

Korpusu Kanadyjskiego. W wyniku bitwy pod Falaise znaczna część wojsk hitlerowskich została okrążona i rozbita, co umożliwiło aliantom wyjście na linię Sekwany i wyzwolenie Paryża.

Następnego dnia Violette udała się do miejscowości Pompadour, z zamiarem nawiązania kontaktów z jednym z głównych przywódców francuskiego ruchu oporu, Jacques'em Poirtierem pseudonim „Nestor”. Aby nie wzbudzać podejrzeń, do odległego o 50 kilometrów miasta miał ją zawieźć samochodem członek Resistance nazwiskiem Jacques Dufour – „Anastasio”. W towarzystwie jeszcze jednego partyzanta, Jeana Bariauda, wyruszyli wczesnym rankiem, boczną, wąską i krętą drogą. Na wszelki wypadek Szabo, występująca tym razem jako Madame Villeret, młoda wdowa po antykwariuszu z Nantes, zabrała ze sobą Stena i dwa dodatkowe magazynki naboju.

Violette nie wiedziała jednak, że poprzedniej nocy agenci SOE, do spółki z kilkoma maquis dokonali porwania i egzekucji jednego z oficerów II Dywizji Pancerniej SS „Das Reich”, majora Reinharda Kampfa. W związku z powyższym, wszystkie oddziały dywizji postawiono w stan najwyższego pogotowia. Wszystkie drogi wokół Limoges zostały dokładnie zablokowane, tak, by nawet mysz się nie wyslizgnęła.

W okolicy miejscowości Salon-la-Tour, Violette, Jean i Jacques wjechali na kamienny wiadukt. W tym momencie dopiero dostrzegli niemiecki posterunek: ustawiony bokiem samochód pancerny blokował drogę. Sytuacja była bez wyjścia. Niemcy też ich zobaczyli, na wąskiej drodze, którą wytyczały kamienne murki po obu stronach, nie było nawet mowy o zawróceniu. Dufour gwałtownie zahamował, wyskoczył z pojazdu i zaczął strzelać. Nieuzbrojony Barriaud popędził ile sił w nogach w kierunku lasu. Violette podniosła stena i ostrzeliwując się, pobięła w stronę bramy znajdującego się po lewej stronie

drogi gospodarstwa.

Nazwa Sten powstała jako skrót nazwisk projektantów: Reginalda Sheperda i Harolda Turpina oraz miejscowości Enfield, gdzie mieściła się fabryka Royal Small Arms Factory. Prosta konstrukcja pistoletów maszynowych Sten sprawiła, że rozpoczęto ich wytwarzanie w warunkach konspiracyjnych, we Francji, Polsce i w Danii. Brytyjczycy dostarczali też duże ilości Stenów dla oddziałów partyzanckich w całej okupowanej Europie, głównie drogą zrzutów powietrznych. Dzięki niewielkim rozmiarom i możliwości rozłożenia na krótsze podzespoły, Sten okazał się idealną bronią do działań partyzanckich i konspiracyjnych akcji miejskich. Zasilany był w naboje 9x19 Parabellum z dwurzędowego magazynka pudełkowego o pojemności 32 sztuki, przystawianego z lewej strony. Tego rodzaju pociski powodują dużą krzywdę przy uderzeniu w ludzkie ciało, niewielką jednak szkodę wyrządzającą pancerzowi samochodu, a za nim właśnie ukryli się esesmani.

„Jeden z Niemców został trafiony, pozostali zaczęli do nas strzelać – wspominał później ocalały Jean Dufour. – Krzyknąłem do Violette, aby uciekała, a ja będę ją osłaniać. Rzuciła się do ucieczki i gdy tylko dotarła do łąnow pszenicy, znów strzelała w kierunku Niemców. Ja w tym czasie zacząłem biec co tchu w jej stronę. Dalej biegliśmy razem, pochyleni, wzdłuż pola i dalej, w kierunku lasu. Później posuwaliśmy się polem, czołgając się. Nad nami świszczały pociski z broni maszynowej. Około pięćdziesięciu metrów od skraju lasu Violette opadła z sił, nogi miała strasznie pokrwawione, bolała ją skrzywiona w kostce lewa stopa. Krzyknęła do mnie, żebym uciekał, a ona będzie mnie osłaniać. Nie było chwili do namysłu. Ruszyłem pędem, ostatkiem sił w kierunku lasu. Violette doczołgała się do drzewa rosnącego w środku pola. Mnie udało się uciec, ukryłem się na pobliskiej farmie. Violette, opierając się o pień drzewa, nieustannie ostrzeliwała się, aż do

wyczerpania amunicji”.

Violette broniła się samotnie, strzelając do otaczających ją esesmanów jeszcze blisko pół godziny. Nie zauważyła, kiedy wystrzeliła ostatni pocisk. Dla samej siebie nie zostało jej już nic...

„Niemiecki oficer wyjął z kieszeni papierosnicę, otworzył ją, wyciągnął rękę w stronę tej kobiety, proponując papierosa – wspominała po latach moment aresztowania Violette Szabo właścicielka pobliskiej farmy, pani Louise Montintin, która obserwowała z daleka całe wydarzenie. Agentka w odpowiedzi splunęła Niemcowi w twarz”.

Zabrano ją do więzienia w pobliskim Limoges, w którym czekali już oprawcy. W tym samym czasie do niewielkiego miasteczka Oradour-sur-Glane wjechały samochody z esesmanami z oddziału „Das Reich”. Rozwścieczony Adolf Dieckmann, oficer dowodzący akcją, wydał rozkaz wymordowania mieszkańców i spalenia miasteczka. Tego dnia, w Oradour-sur-Glane od kul zbrodniarzy, biorących odwet za śmierć majora Kampfa, zginęło 642 ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Była to największa niemiecka zbrodnia we Francji. Niezrozumiała, ponieważ tego rodzaju metody esesmani stosowali raczej w Związku Radzieckim czy w Polsce, na zachodzie Europy starali się zaś sprawiać wrażenie rycerskiego wojska, broniącego ludność przed zalewem bolszewizmu, w imię wspólnej im wszystkim cywilizacji. Zdarzało im się powiesić lub rozstrzelać zakładników, ale nigdy dotąd nie wymordowali ludności całego miasteczka.

W więzieniu w Limoges Violette Szabo została wielokrotnie zgwałcona. Przez kilka dni poddawano ją również najbardziej wyrafinowanym torturom. Nie powiedziała nic, nie zdradziła żadnego pseudonimu. Wiele powiedzieć zresztą nie mogła. Wysyłając swych agentów do okupowanych krajów SOE zakładał, że mogą zostać schwytani, przekazywał im więc tylko najbardziej niezbędne informacje. Dzięki temu szkody, jakie mogła ponieść organizacja, gdyby któryś z

jej członków nie wytrzymał tortur, zostawały zminimalizowane.

Partyzanci postanowili odbić Violette z rak Niemców, ale na dwie godziny przed rozpoczęciem akcji agentka SOE została przewieziona do więzienia we Fresnes, stamtąd zaś, kilka dni później, do głównej kwatery gestapo w Paryżu. Tam torturował ją i gwałcił znany z okrucieństwa SS sturmbanführer Otto Kowatch. Okazało się, że nawet w samym „gnieździe” bestialskich specjalistów od łamania kości nie zdołano złamać jej milczenia. Płaciła najwyższą cenę za swoje poświęcenie w walce z nazizmem. Piekło trwało kilka tygodni, wreszcie 10 sierpnia wysłano ją do więzienia w Saarbrücken. 22 sierpnia, nazajutrz po czwartej rocznicy jej ślubu, trafiła do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Podróż pociągiem towarowym, w koszmarnych warunkach, trwała dwa i pół tygodnia. Pracowała tam w nieludzkich warunkach, podczas silnych mrozów, wraz z więźniarkami z Polski, Rosji i Francji.

Pod koniec sierpnia SOE zdecydowało się powiadomić państwa Buschell o losie ich córki. Wiadomość ta spadła na nich niczym grom z jasnego nieba. Dopiero wtedy dowiedzieli się, czym zajmowała się Violette. W styczniu następnego roku otrzymali z Niemiec krótką wiadomość, pisaną jej ręką. Żyli w przekonaniu, że wojna wkrótce się skończy i Violette wróci do domu. Stało się jednak inaczej.

Bohaterka tej historii zginęła. Okoliczności jej śmierci nie udało się wyjaśnić do dzisiaj. Według zeznań złożonych przez komendanta obozu, obersturmführera Johanna Schwarzhüberta została zamordowana strzałem w tył głowy przez esesmana o nazwisku Schenk. Ale nie ma pewności, że skazany na śmierć przez angielski sąd i powieszony w 1947 roku Schwarzhüber mówił prawdę. Według jednej z ocalałych więźniarek, została stracona na obozowej szubienicy 5 lutego 1945 roku.

Wyryjcie jej imię z dumą (dokończenie)

W 1947 roku rząd Francji uhonorował ją najwyższym odznaczeniem wojskowym – Krzyżem Wojennym (Croix de Guerre). Rok wcześniej Anglicy przyznali jej pośmiertnie – jako pierwszej kobiecie – Krzyż Św. Jerzego. Obydwa odznaczenia odebrała jej córka, Tania Szabo.

Niektórzy historycy uważają, że Violette została schwytana tylko i wyłącznie przez własną nieostrożność - podróżowała z bronią, mimo sprzeciwu swoich towarzyszy. Mimo tego, to właśnie ona, a nie ktoś spośród kilkunastu tysięcy innych agentów, stała się ikoną SOE. Młody wiek – kiedy zginęła miała zaledwie 23 lata - uroda, idealizm i osobista odwaga jeszcze dziś robią wrażenie. Po wojnie pisały o niej gazety, wydano również biografię, na podstawie której nakręcono film. Brązowe popiersie na odsłoniętym w 2008 roku pomniku poległych żołnierzy SOE, jest właśnie jej portretem

26 czerwca 1998 roku, w 67 rocznicę urodzin Violette Szabo, w Cartref, gdzie jako dziecko spędziła szczęśliwe chwile podczas wakacji u jej wujostwa, odsłonięto pamiątkową tablicę. Znajdujący się tam napis głosi:

„Ta tablica została odsłonięta, aby oddać wieczny hołd Violette Szabo – tajnej agentce Brytyjskich Służb Specjalnych, urodzonej 26 czerwca 1921 roku, zamordowanej przez gestapo w Ravensbrück w roku 1945, w głębokim uznaniu jej bohaterskich zasług i odwagi w momencie, gdy Anglia była w potrzebie.

Odpoczywaj w pokoju Violette !

Wyryjcie jej imię z dumą !

Przemysław Słowiński

Wspomnienie o śp. Irku Marciszuku



*Ireneusz Marciszuk
(fot. archiwum)*

Zastanawiam się kogo Pan Bóg chce ukarać, gdy przedwcześnie zabiera wartościowych ludzi ? Chce ukarać rodzinę, kulturę, czy tego, kto odchodzi ? A może człowiek, tu na ziemi, dojrzewa jak owoc, a potem boska dłoń zrywa go i odkłada do spiżarni lub przekazuje do własnej pracowni ? W każdym bądź razie 52 lata, jak na warunki ziemskie, to zbyt krótko. Mógł jeszcze zrobić dużo dobrego.

Ireneusz Marciszuk (1967-2019), znakomity fotografik posługujący się autorską techniką i skrupulatny dokumentalista, był człowiekiem trzech wymiarów: historii, historii sztuki i fotografii. Historia i historia sztuki dawały mu wiedzę, a fotografika niezwykłą umiejętność wnikania w głąb przeszłości – poprzez dostrzeganie i interpretację szczegółów. I to był jego świat życia, pasji i dociekań. Swoją karierę zaczynał w 1995 r., jako fotograf uniwersytecki KUL; od 2007 r. był już pracownikiem Instytutu Historii Sztuki KUL. Jego obszarami zainteresowania były zabytki Lublina, a także eksponaty znajdujące się w Muzeum KUL oraz osobne światy: greckokatolickiej cerkwi, witraży kościołów województwa lubelskiego, folkloru ludów karpaccich, sztuki

cementarnej w Polsce i na Kresach oraz wiele innych dziedzin pobocznych. Projektował okładki ważnych książek, współpracował z wieloma czasopismami, a także z Wydziałem Filozofii KUL, z Regionalnym Ośrodkiem Studiów i Ochrony Środowiska Kulturowego w Rzeszowie, Ośrodkiem Studiów Polonijnych i Społecznych PZKS w Lublinie, z Politechniką Łódzką, Podhalańskim Towarzystwem Opieki nad Zabytkami itd. W tym świecie uczestniczyła jego ukochana żona – Katarzyna, również historyk sztuki zajmująca się Huculszczyzną.

Jako środek wyrazu w swojej twórczości wybrał wystawy. Wystawiał w Polsce i poza jej granicami. Zaczynał od 1992 r. Najpierw udziałem w wystawach zbiorowych, potem indywidualnie. Pierwsza wystawa zbiorowa nosiła tytuł „Lublin miastem pogranicza różnych kultur” (Polska, Niemcy 1992), kolejna „Renesans w Polsce – renesans lubelski” (Lublin, Kopenhaga 2001). Pierwsza indywidualna pojawiła się w 1997 r. pod nazwą: „Lublin w fotografii Ireneusza Marciszuka”, potem kolejne: „Lublin od podszewki” (Lublin 2009, 2010); „Pod strzechą i dechą. Światłem malowane...” (Lublin 2010); „Lublin – miasto świętego Antoniego cz. I i II” (Lublin 2010, 2011); „Lublin – pod płaszczem opieki ukryty” (Lublin 2011, 2012, 2016); „Lublin – sen Leszka Czarnego” (Lublin 2012, 2016); „Lublin w poszukiwaniu dawnego piękna” (Lublin 2012); „Piękno natury w fotografii” (Lublin 2013, 2015), „Cenne czy niechciane – witraże kościołów woj., lubelskiego” (Lublin, Łuków, Kraków 2014, 2015). Jego prace wykorzystywane były również w innych wystawach zbiorowych, np.: „Współczesny obraz pasterstwa karpacciego” Lublin 2017 r. Współpracował także z lubelskim

Dokończenie na stronie 15

Wspomnienie o śp. Irku Marciszuku

(dokończenie)

Oddziałem IPN. I tu kolejne wystawy: „Młodzież z partią... się rozliczy”, „Wolność jest tam, gdzie są wolni ludzie”, „Zaczęło się lipcu. Solidarność w Regionie Środkowowschodnim 1980-1989”.

Był także miłośnikiem gór: Karpat i Sudetów oraz współorganizatorem wielu karpackich wypraw, które owocowały kolejnymi wystawami, m.in.: „Zabytki na karpackich bezdrożach”; „Za górą – historia cerkwi w Łopience”. Wszystkie wystawy, które organizował lub współorganizował, jak również wydane albumy z jego zdjęciami, a ostatnio również zredagowana przez Irka strona internetowa, były wyrazem promocji Instytutu Historii sztuki KUL.

Jakim był na co dzień ? Jego potężna fizycznie postać nosiła w sobie dużą wrażliwość nie tylko kulturową, ale również tę ludzką. I tu ciekawostka... jest taki moment w procesie gromadzenia wiedzy, że nie zapominając o niczym, nagle, mimo woli, zaczyna się mówić bardziej o człowieku, niż świecie, który on stworzył. I tak właśnie było z Irkiem. Po świecie ludzkich kultur poruszał się z dużą swobodą i wycuciem. Każdemu odwiedzającemu jego wystawę potrafił poświęcić dużo czasu tłumacząc jej myśl, a także pokazywane w niej szczegóły. Był nie tylko cierpliwy, ale również otwarty na drugiego człowieka. Chciał mu przekazać posiadaną wiedzę i wyciągnięte z niej wnioski – za darmo. Wiedział bowiem, że wiedza buduje, kojarzy przyjaźnie oraz redukuje zbyteczne napięcia. Za pomocą wystaw i tej swojej otwartości chciał zbudować lepszy świat, niż ten w którym uczestniczył.

Nasze rozmowy zawsze były niezwykle

interesujące. Irek swoją pracownię miał na poddaszu starego budynku KUL (3 piętro). Wbiegałem po schodach niesiony ciekawością, co też owe dzisiejsze „dziś” nam przyniesie. I nie ma w tym żadnej przesady, ani kokieterii. Tak było. Rozmowy zaczynały się banalnie, ale w pewnym momencie następował „zapłon” i od tej pory stawały niedokończonymi. Często przerywał je telefon żony, oznajmiający, że już czas do domu. Planowaliśmy konfrontację dwóch światów w formie wzajemnego wywiadu. Irek miał reprezentować „pogranicze” lubelskie, ja ziemię zachodnią (w tym przeniesione tam kresy) i Śląsk. Zupełnie niespodziewana śmierć brutalnie przerwała te plany. Zabrała go 09. sierpnia 2019 r. na Huculszczyźnie w Werchowynie (przed wojną – Żabie) podczas kolejnej wyprawy etnograficznej. Polsko-ukraińskim zespołem kierował prof. Janusz Gudowski. Irek pochowany został 24.08.2019 na cmentarzu wojськово-комуналnym przy ulicy Lipowej w Lublinie (od ul. Białej). Za swoją ogromną pracę i wielkie zaangażowanie otrzymał tylko jedno wyróżnienie w 2019 – medal z okazji 700-lecia miasta Lublina. I gdyby nie przyjaciele, odszedłby niezauważony.

Obszerniejszy życiorys Zmarłego, autorstwa żony Katarzyny Tur-Marciszuk, ukaże się w najbliższym numerze „Czasu Solidarności” w Lublinie. Oprócz żony zostawił dwóch dorosłych synów.

Ryszard Surmacz

PS. W opracowaniu korzystałem z informacji zamieszczonej na stronie internetowej Instytutu Historii Sztuki oraz z opracowania Katarzyny Tur-Marciszuk.

Strona 15

Błazenada Putina

Przed końcem roku prawdziwy popis chamskiej błazenady zafundował nam Władimir Putin. Jego bezczelna propagandówka, wyniesiona wprost ze stalinowskiej narracji dziejów, okraszona brakiem jakiegokolwiek zdrowego rozsądku wręcz zaszokowała. Nie ma co nawet wnikać w sens (a raczej jego brak) tej wypowiedzi. O co w tym chodzi ?

Najkrócej można powiedzieć, że putinowszczyzna zaczyna bankrutować. Nie poprawia się sytuacja w Rosji, zaś poza jej granicami wyraźnie widać wielkie pasmo porażek. Najważniejszą kolęską jest sprawa uzależniania Europy od rosyjskich dostaw gazu. Nord Stream 2 jakby przechodził do historii za sprawą nie tylko protestów Polski i innych krajów, ale przede wszystkim sankcjom administracji Prezydenta USA Donalda Trumpa. To wierłki, polityczno-gospodarczy cios.

Ale nie on jeden. Na forum światowym Rosja spada do roli zwykłego państwa. W dodatku okazuje się, że Polska będzie budowała kanał przez Zalew Wiślany, co znowu ograniczy mocno jakąkolwiek kontrolę ruchu morskiego. Do tego dochodzi zapowiedziane zerwanie kontraktu na dostawy gazu rurociągiem jamalskim i wiele innych spraw, których nie uratowała rozbudowana potężnie agentura wpływów Rosji.

KBG-owcowi Putinowi puściły nerwy i tak należy odebrać chamski atak na Polskę. W dodatku atak ten został dokonany w sposób, który jednocześnie wywołał oburzenie na świecie i wręcz otwarty konflikt dyplomatyczny ze Stanami Zjednoczonymi.

Putin sięgnął wprost do najgorszego modelu stalinowskiego. No ale cóż - słoma kołchozowa wyszła na wierzch.

Remigiusz Ostrowski

Postęp nie jest dany raz na zawsze. Trzeba go troskliwie chronić i kultywować. Pozostawiony samemu sobie może paść pod naporem sił religianctwa, obskurantyzmu i zacofania, które to siły mogą nas cofnąć do średniowiecza - do mrocznych czasów, gdy zakładali uniwersytety i budowali katedry...

Ale postęp trzyma się mocno, bo ma licznych obrońców. W celu uzyskania efektu synergii progresiści wszystkich krajów łączą się. Ulica i zagranica, wielki kapitał i drobni ciułacze, osoby konsekrowane i świeckie, sędziowie i nobliści, no i politycy, którzy walczą o postęp niejako zawodowo i mają za to płacone.

Gdy totalnie opozycyjny poseł Zalewski z miedzianym czołem i szklanym okiem wygłasza obowiązujące komunały o "kompromisie okrągłego stołu między przedstawicielami narodu, a komunistami", to walczy właśnie o postęp. I choć dziś już o transformacji ustrojowej wiemy całkiem dużo, to ze strony bojowników postępu wciąż słyszy się o stanie wojennym, który był "mniejszym złem", o "bezkawym oddaniu władzy", czy o roli Wałęsy w "upadku komunizmu". Oczywiście taka narracja ma na celu kształtowanie błędnego rozumienia rzeczywistości, co pośrednio wpływa na decyzje wyborcze skołowanego elektoratu.

Dlatego warto stale przypominać, że komuniści starannie przygotowali się do swego "upadku", a celem "pierestrojki" była zmiana nieefektywnego systemu ekonomicznego przy zachowaniu ciągłości władzy. Autorzy kontrolowanego "przejścia do demokracji" największe kłopoty napotkali właśnie w Polsce ("Solidarność"), gdzie konieczny był stan wojenny i teatrzyk okrągłego stołu. Można powiedzieć, że cele "pierestrojki" w Polsce zostały osiągnięte dopiero 10 kwietnia 2010. Miesiąc po tragedii smoleńskiej w putinowskiej „Naszej Rosji” napisano „Moskwa powinna

teraz maksymalnie wykorzystać czas, który ma do dyspozycji, by sprawić, aby korzystne zmiany w stosunkach z Warszawą stały się nieodwracalne. Wydarzenia z 7 i 10 kwietnia 2010 stały się punktem zwrotnym w relacjach między naszymi państwami. To, co się wydarzyło na wiosnę 2010 roku jest szansą. Można ją wykorzystać jedynie poprzez wyjście naprzeciw sobie w sposób trwały i instytucjonalny”.

Platforma Obywatelska, choć kojarzona raczej ze „stronnictwem pruskim”, wyszła naprzeciw w sposób trwały i instytucjonalny” i w czasie jej rządów nastąpiło apogeum przyjaźni polsko-rosyjskiej. To wtedy na zaproszenie min. Sikorskiego oberszpieg Ławrow (długoletni szef rezydentury KGB w USA) miał spotkanie (odprawę?) z polskimi ambasadorami, Państwowa Komisja Wyborcza udała się na szkolenie do Moskwy, a Służba Kontrwywiadu Wojskowego zawarła układ o współpracy z rosyjską FSB. Reaktywowano nawet Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze. Nastąpiła też gwałowna demilitaryzacja kraju w myśl „doktryny” Komorowskiego - „nikt na nas nie czyha”. I pomyśleć, że jeszcze na początku jego urzędowania armia nasza liczyła 200 tysięcy...

Te szokujące fakty nie robią już większego wrażenia, a inne są po prostu nieznane opinii publicznej. Do wielu zasadniczych wiadomości mogą dotrzeć tylko najbardziej dociekliwi (ci mniej dociekliwi nie mieli szans np. dowiedzieć się, że warunkiem zjednoczenia Niemiec było powstanie strefy buforowej z Polską o ograniczonej suwerenności). Politycy (czy osoby pretendujące do tego miana) powinni dotrzeć do przemilczanej pracy Jerzego Targalskiego pt. "Służby specjalne i pierestrojka – rola służb specjalnych w demontażu komunizmu w Europie sowieckiej". Autor przekopał się przez archiwa w dziesięciu językach i zgromadził tysiące faktów. Znajomość tej pozycji oszczędziłaby młodocianym politykom Konfederacji zdziwienia, że "Polska nie jest suwerenna", i pomogła

zrozumieć skąd się biorą trudności przy przekopie Mierzei Wiślanej, fuzji Orlenu z Lotosem, odbudowie poznańskiego Pomnika Wdzięczności, czy reformie sądownictwa (nie mówiąc już o reprivatyzacji i dekomunizacji, co w ogóle okazało się niemożliwe). Eksperci sowieckich służb pracujący nad koncepcją "pierestrojki" doskonale znali mentalność ludzi Zachodu z ich fetyszyzowaniem "rządów prawa", dlatego sądownictwo uczynili podstawowym narzędziem do kontroli ryzykownych przemian okresu przejściowego, a także gwarantem bezkarności komunistycznych przestępców. Stąd wyjątkowa rola prawników w nowym "utrwalaniu władzy ludowej" czyli adaptacji komunistycznych elit do nowej sytuacji społeczno – ekonomicznej.

W 2001 r. niemiecki Instytut Maxa Plancka Międzynarodowego Prawa Karnego uznał Polskę za jeden z krajów, który wobec funkcjonariuszy reżimu totalitarnego przyjął zasadę „względnej bezkarności”. Zdaniem prof. Krzysztofa Szwaagrzyka grupa prokuratorów i współpracujących z nimi sędziów wydających wyroki w okresie stalinowskiego terroru liczyła ok. 1100 osób.

Pion prokuratorski IPN prowadził kilkaset spraw przeciw prokuratorom i sędziom wydającym wyroki sprzeczne z prawem w momencie ich wydawania. Choć ustawa o IPN stanowi, że zbrodnie komunistyczne przedawniają się po 40 latach, w 2010 roku Sąd Najwyższy pod przewodnictwem sędziego Płóciennika wcielił się w ustawodawcę i zmienił prawo uchwalając przedawnienie zbrodni sądowych według kodeksu karnego (po 15 latach). Prokuratura IPN musiała wszystkie prowadzone sprawy umorzyć, gdyż okazało się, że przestępstwa sądowe są już przedawnione... (sędziego Płóciennika pamiętam, jak w stanie wojennym skazał surowo, dla przykładu, moją

solidarnościową koleżankę Zofię Pietkiewicz za dokuczanie zomowcom). Praca Targalskiego ujawnia, jak wielką uwagę przywiązywano do przygotowania kluczowych kadr przyszłej "demokracji". Dlatego zwolennicy spiskowej teorii dziejów zastanawiają się, czy represje (umiarkowane), które spotkały sędziego Strzembosza w latach osiemdziesiątych, nie miały na celu wytworzenia "pięknego życiorysu opozycyjnego", bo był on przewidziany na przyszłego prezesa Sądu Najwyższego? Faktem jest, że prof. Strzembosz jako autorytet moralny przeprowadził suchą stopą komunistyczne sądownictwo przez zawirowania okresu przejściowego i jemu zawdzięczamy sporą część patologii trapiących nasz system wymiaru sprawiedliwości. Zmieniają się systemy polityczne, partie rządząca, a "apolityczni" sędziowie o giętkich kręgosłupach orzekają...

Mój kolega Ryszard Szpryngwald za wręczenie ulotki patrolowi wojskowemu został skazany przez sędziego - porucznika Bogdana Rychlickiego na 3 lata, a po paru latach sędzia Sądu Najwyższego - pułkownik Jan Bogdan Rychlicki unieważnił poprzedni własny wyrok (po przemianach ustrojowych sędzia dodał sobie dodatkowe imię). Sędziowie Płociennik i Rychlicki (obaj z Koszaliną), którzy zawdzięczają swoje awanse gorliwej pracy w stanie wojennym, orzekali w Sądzie Najwyższym jeszcze w 2018 roku - zresztą jak wielu innych o podobnej ścieżce kariery. Właśnie takim sędziom powierzano sprawy o charakterze politycznym, a wyroki, które zapadały (uniewinnienia podejrzanych o zbrodnie komunistyczne, umarzanie spraw lustracyjnych) spowodowały powszechne przekonanie, że Sąd Najwyższy jest upolityczniony i służy postkomunistom. W PRL sytuacja była klarowniejsza - nie było tych nieustannych rytualnych zaklęć o „trójpodziale władzy”, czy „niezawisłości i apolityczności” sędziów. Ponieważ w mojej sprawie w stanie wojennym uważałem PZPR w pewnym sensie za stronę, chciałem wnioskować o sędziów bezpartyjnych, ale adwokat

powiedział mi, że w sądzie wojskowym nie ma na to szans, bo sędziowie są oficerami, a wszyscy oficerowie są partyjni.

W Niemczech usunięto 65 % sędziów z NRD, przeprowadzono weryfikację profesorów na uczelniach i nikt się nie oburzał na „łamanie praw człowieka”, ale oni mają całkiem inny zakres suwerenności...

Innym użytecznym narzędziem do czuwania nad dobrym samopoczuciem kadr komunistycznych, jest powołany w 1985 roku Trybunał Konstytucyjny, który dwukrotnie storpedował próby lustracji. W roku 1992 sędzia Zoll „uchylił w całości” ustawę lustracyjną, a w 2007 roku powtórzył to sędzia Stępień uzasadniając:

„Demokratyczne państwo oparte na rządach prawa dysponuje wystarczającymi środkami aby zagwarantować, że sprawiedliwości stanie się zadość, a winni zostaną ukarani, nie może ono jednak i nie powinno zaspokajać (sic!) żądzy zemsty zamiast służyć sprawiedliwości.” Werdykt wpisał w zachwyt prezydenta Kwaśniewskiego, który powiedział:

„Trybunałowi Konstytucyjnemu szczególnie w tych dniach, kiedy tak ogromna presja była wywierana na tę instytucję, która jest gwarancją naszej demokracji i wolności, chcę złożyć w imieniu własnym, a wierzę również w imieniu państwa wyrazy najwyższego szacunku”. Słowa te padły podczas konferencji pt. „Europejskie Standardy Demokratyczne”, na której obecny był kwiat bolszewizmu polskiego – najlepszych znawców demokracji.

Sędzia Stępień jest posiadaczem tzw. „pięknego, opozycyjnego życiorysu”, gdyż był członkiem zarządu Regionu Świętokrzyskiego NSZZ Solidarność i został internowany w stanie wojennym. Jego życiorys w wikipedii zawiera informację, że „w 2006 prezydent RP powołał go na stanowisko prezesa Trybunału Konstytucyjnego”. Życiorys dyskretnie przemilcza, że to prezydent

Lech Kaczyński odkrył go w dalekich Kielcach i mianował pierwszym prezesem TK bez tytułu profesorskiego. Tak więc mgr Stępień stał się klasycznym przykładem „sędziego pisowskiego” - zjawiskiem praktycznie nie występującym w przyrodzie, a zarazem dowodem na liczne nietrafione decyzje kadrowe prezydenta Kaczyńskiego. Natychmiast po tej nominacji byliśmy świadkami jednego z najbardziej spektakularnych nawróceń w nowożytnej historii Polski.

Prawdopodobnie pod wpływem uporczywej lektury Gazety Wyborczej sędzia stał się ekstremalnie apolityczny, zapalał neoficką miłością do lewicy laickiej i zaczął uczestniczyć w zadymach KOD-u wygłaszając płomienne antypisowskie filipiki. W końcu stał się prezesem Fundacji Wałęsy i został nagrodzony przez Newsweek nagrodą im. Teresy Torańskiej obok braci Sekielskich i sędziego Juszczyszyna.

Niemniej apolityczny jest inny prominentny sędzia - Prof. Rzepliński, który starał się w 2005 roku o posadę Rzecznika Praw Obywatelskich (właśnie kończyła się kadencja prof. Zolla). Prof. Rzepliński nie został powołany, bo zdominowany przez SLD Senat zablokował nominację widocznie pamiętając, że kandydat w stanie wojennym wystąpił z PZPR.

W ramach dyskusji nad kandydaturą głos zabrał poseł Zygmunt Wrzodak:

„Wysoka Izbo ! Chciałbym poprosić posłów wnioskodawców z PO, którzy wnoszą o powołanie na rzecznika praw obywatelskich pana prof. Rzeplińskiego, żeby coś powiedzieli o jego przeszłości politycznej, bo od strony zawodowej ja go znam dość dobrze. Ale czy prawdą jest, że do 1982 r. był sekretarzem POP na Uniwersytecie Warszawskim ?

Po drugie, jak się odnosi poseł wnioskodawca do wypowiedzi pana profesora z 2001 r., że on ma żal do władz komunistycznych z lat 1944-1950, że tylko

dziesięciu Polaków zostało skazanych za tzw. mord w Jedwabnem, a powinno być skazanych przynajmniej stu? Na jakiej podstawie, na jakiej historii, na jakich informacjach opiera taką dziwną opinię pan Rzepliński?

I rzecz najważniejsza: otóż gdzie na początku roku 1990 ówczesny pułkownik SB pan Pietruszka poprosił, żeby mógł się wypowiadać przed prokuratorem krajowym. Spisano na tę okoliczność odpowiedni dokument w obecności pana Rzeplińskiego i nieżyjącego już pana Nowickiego. Pan płk Pietruszka pokazuje cały mechanizm zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki, mówi kto z MSW zlecił zamordowanie i zamordował Piotra Bartoszcze. To przesłuchanie było w obecności pana Rzeplińskiego. Co zrobił z tą informacją pan prof. Rzepliński?

Następnie pan Rzepliński, słuchając wypowiedzi pana płk. Pietruszki, który mówił wprost, że generał Kiszczak kazał mu poddać się uwięzieniu, ponieważ on musi chronić pana gen. Jaruzelskiego i pana Kiszczaka. Pan Pietruszka zgodził się na więzienie, bo sąd był w tym momencie ustawiony i prokuratura ustawiona. I rzeczywiście taki wyrok, jaki ustawili przed rozprawą, dostał pan Pietruszka. Pan generał Kiszczak obiecał panu płk. Pietruszcze stopień generała po wyjściu z więzienia.

Pan prof. Rzepliński pod tymi zeznaniami pana esbeka Pietruszki podpisał się i te dokumenty są w Ministerstwie Sprawiedliwości. Zetknąłem się z nimi w tym roku. To są dla mnie informacje szokujące, bo pan Pietruszka wprost pokazuje, kto zamordował i kto zlecił zabójstwo Piotra Bartoszcze, jak również w jaki sposób miał być zamordowany biskup Gulbinowicz i wiele innych osób w latach osiemdziesiątych. To są zeznania złożone w obecności pana prof. Rzeplińskiego.

Co zrobił pan prof. Rzepliński z tą informacją od 1990 r.?"

Cóż mógł zrobić prof. Rzepliński, który był sekretarzem zarządu Helsińskiej

Fundacji Praw Człowieka? Wiedział, że samobójcy grasują po ludziach, a życie było mu drogie.

Podobnie jak mgr Stępień, także ten sędzia poszedł do pracy u Lecha Wałęsy wchodząc w skład powołanego przez noblistę Komitetu Obywatelskiego do monitorowania prawidłowości przebiegu wyborów w Polsce w latach 2018–2020. Wydawało by się, że Wałęsa jest doszczętnie skompromitowany, jednak ciągle pozostaje w grze, bo jest użyteczny w walce o "postęp".

Prof. Gersdorf nie była sędzią, a nominację na Prezesa Sądu Najwyższego otrzymała chyba ze względu na zdolności, a także bardzo dobre pochodzenie – jej wstępni od dziesięcioleci zajmowali prominentne stanowiska w branży. Z powodu zmiany ustawy emerytalnej Pani Prezes zaproponowano przejście na emeryturę po ukończeniu 65 roku życia.. Prof. Gersdorf pobrała odprawę i skorzystała z okazji. Ale wkrótce ktoś ją namówił (przewodnik duchowy? spowiednik?) i wróciła do pracy nie kwapiąc się jednak do zwrotu odprawy. Jej powrót na stanowisko wzbudził entuzjazm ulicy i zagranicy. Pani prezes ma przekonanie, że prawidłowo nominowany sędzia musi być wybrany tylko przez lewicowo – liberalnych internacjonalistów proletariackich. W przeciwnym razie będzie to sędzia upolityczniony, nie gwarantujący sprawiedliwych wyroków. Niestety takie przekonanie pchnęło ją w kierunku anarchizacji państwa, bo czym innym może być wezwanie kilkuset sędziów, by powstrzymali się od orzekania (z perspektywą unieważnienia tysięcy wyroków)?

Za to działalność ta spotkała się z najwyższym uznaniem u Niemców. W maju prof. Gersdorf odebrała nagrodę im. Theodora Heussa za „wzorową niezłomność, jednoznaczną postawę i odwagę cywilną w służbie obrony warunków nieodzownych dla istnienia demokracji konstytucyjnej”, natomiast w listopadzie wyróżnienie "Internationale Demokratiepreis Bonn" za "nieustraszone zaangażowanie na rzecz niezależnego

wymiaru sprawiedliwości".

Troska Niemców o demokrację w Polsce ma długą tradycję – Fryderyk Wielki i Katarzyna Wielka uzgodnili, że nigdy nie dopuszczą do likwidacji "liberum veto", aby polskie wolności obywatelskie nie doznały uszczerbku. Właśnie pracą na odcinku polskim ci monarchowie zaskarbili sobie u potomnym na miano "Wielkich".

Kadry prawnicze wymiaru sprawiedliwości są znacznie bardziej "postępowe", niż inne grupy zawodowe (tramwajarze, dentyści, leśnicy), a ten lewicowy przechyl środowiska wynika z przesłanek historycznych. Po wojnie sądownictwo było tworzone praktycznie od zera, "wymiar sprawiedliwości" był rdzeniem reżimu totalitarnego i potrzebował kadr. Dlatego pierwsze szkoły prawnicze powstawały już w latach czterdziestych i kształciły na krótkich kursach przyszłych prokuratorów i sędziów (matura nie była wymagana). Później kadry były już znacznie lepiej wykształcone, a zawody prawnicze przechodziły z ojca na syna w obrębie sprawdzonego ideowo środowiska. Dlatego nie będzie przesadą stwierdzenie, że znaczna część obecnych kadr wymiaru sprawiedliwości lewicowość wyssała z mlekiem matki. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ludzie przyzwyczajeni w zasadzie nie studiowali prawa. Później to się zaczęło zmieniać, ale w czasie stanu wojennego usunięto grupę sędziów – solidarnościowców, którzy stanowili "ciało obce" w środowisku, a więc w pewnym sensie sądownictwo "oczyściło się".

W MSZ jeszcze dziś pracują wnuki Bieruta i grupa 220 byłych funkcjonariuszy komunistycznych służb. Prawo pracy chroni ich przed zwolnieniem, ale nawet jak przejdą na emeryturę, pozostaną ich dzieci i wnuki. Pewne instytucje są ulubionym miejscem pracy dla wielopokoleniowych klanów rodzinnych. To dlatego w materiałach reklamowych polskich placówek dyplomatycznych znajdują się książki Grossa, czy film "Pokłosie". Można powiedzieć, że obok

Czy nie widzicie, że państwo się rozpada ? (Impulsywnie)

Ludzie, czy Wyście kompletnie powariowali ?!! Cała Polska dyskutuje o „radzieckim wyzwoleniu Polski”. Przecież to kompletna paranoja. Nagle, w 30 lat po 1989 r. znaleźliśmy się w samym środku propagandowego PRL. Ba, w PRL nikt nie wierzył w jakieś radzieckie wyzwolenie, wszyscy wiedzieli, że to blaga i nic nie mówili, a dzisiaj byle propagandowy ochłap jest rozszarpywany przez ogłupiałe psy medialne, jak smakołyk. Może z Czarastego zrobicie mentora lub jeszcze prezydenta? „Wyzwolenie” w takim znaczeniu, o jakim się dyskutuje, to termin typowo komunistyczny. Trzeba podjąć poważną dyskusję, co się z Polakami stało, że dopuścili taką kategorię do władzy, a nie zajmować się budżetami ? Co to znaczy wyzwolenie ?

W trzylitrowym „Słowniku Języka Polskiego” słowo „wyzwolić” określono następująco: „Uczynić kogoś wolnym, niezależnym, obdarzyć wolnością, uwolnić coś od kogoś, czegoś. [...] Wyzwolić kraj, naród z niewoli, spod okupacji. Wyzwolić więźniów z obozu, z czyichś rąk...”. Czy ktoś słyszał, aby Rosja lub Związek Radziecki kogokolwiek i kiedykolwiek kogoś wyzwolili ? Można wyzwolić się, a więc uwolnić się od panowania zaborców czy okupantów.

Zdumiewające, wręcz nie do wiary, jest naiwność i zapyziała małość, w jaką wpędzane jest polskie społeczeństwo. Komu to potrzebne ? Kto z tego korzysta ? W 70 lat po zakończeniu II wojny i bolszewickiej niewoli oraz po 30 latach trwania hulanki odzyskanej wolności, znaleźliśmy się w niewymytym świńskim korycie. Kto dopuszcza do dyskusji na ten temat !!! Kto !! Czy poczucie naszej wolności tego wymaga ?

Na dodatek słyszymy tu i tam, że odzyskaliśmy niepodległość, suwerenność, demokrację i że żyjemy w najlepszych dotąd czasach. Jakież oderwanie od rzeczywistości,

propaganda lub jaka obojętność może takie słowa dyktować ?

Donald Tusk uwolnił się od więzów króla UE i desygnowany został na wybitnie polityczne stanowisko. I teraz dopiero się zacznie. Teraz odbuduje swój image, bo politycznym zwierzęciem jest i ma za sobą 1/3 polskich wyborców. Polskie władze rządowe wydaje się, że nie bardzo zdają sobie z tego sprawę. Znaleźliśmy się, jak od ponad 200 lat w kleszczach starych sojuszy i ponownie bez wyjścia. Czy tym razem Amerykanie nam pomogą ? A może Chińczycy ? Zaplecze strategiczno-narodowe wybranego rządu oparte jest na roszczeniowym elektoracie i słabych strukturach regionalnych. Polski naród nie jest przygotowany do walki obronnej. Senat karykaturalnie może urosnąć do rangi Sejmu, ba, już jest obwarowywany dawnymi aparaczkami ze starej ferajny, a sądownictwo zacznie negocjować demokratyczny wybór swoich władz.

I teraz można tylko powiedzieć: i coś kochany Narodzie narobił ?

Ryszard Surmacz



Strona 19

Strażnicy postępu (dokończenie)

ciągłości personalnej, ta swoista pamięć instytucjonalna jest "gwarancją mocy i trwałości" władztwa komunistycznego nad Polską.

W miarę jak zacieśnia się współpraca Rosji z Białorusią, a Rosja zbliża się do naszych granic, rośnie w siłę Nowa Lewica (pod kierunkiem starych komunistów). Już otrzymali potężny wiatr w żagle i są na fali wznoszącej, choć wydawało się, że po historycznej kompromitacji, ta ideologia wkrótce znajdzie się na śmietniku historii. Przed wojną mniej lub bardziej wrogie mniejszości stanowiły ok. 40 % ludności państwa. Dziś mamy podobną mniejszość, choć jest ona głównie etnicznie polska. Wytworzenie się tej mniejszości to najsmutniejszy rezultat niemal półwiecznej sowieckiej dominacji i zarazem największe osiągnięcie imperializmu rosyjskiego. Choć przypisani do różnych partii, ci ludzie nie mają żadnych zahamowań w szkodziu Polsce w każdy możliwy sposób i gdzie się tylko da. Prowokują niepokoje społeczne, wzywają do obcej interwencji i prawdopodobnie woleliby zewnętrzną okupację, niż obecne rządy. Jeden z prominentnych artystów wypowiedział to otwartym tekstem.

Jak zachowają się w momencie próby ? Czy będą walczyć, czy zbudują bramy powitalne dla wkraczających agresorów ?

Obserwujemy gwałtowne wymieranie środowisk solidarnościowych, Klubów Gazety Polskiej, Rodzin Radia Maryja – ludzi, którym udało się wywalczyć całkiem duży stopień podmiotowości kraju. Czy to pokolenie będzie miało kto zastąpić ?

Czy łowcy pokemonów poniosą Polskę ?

Jan Martini

2 stycznia mija 81 rocznica śmierci jednej z najwybitniejszych postaci politycznych II Rzeczypospolitej i jej współtwórcy — Romana Dmowskiego. Postaci, o której ślad powojenna lewica chciała wymazać z pamięci młodego pokolenia. Jego książki nie miały prawa oficjalnego bytu, zaś nawet najmniejsze wzmianki o nim spotykały się z natychmiastową reakcją cenzury.

Ta sytuacja ma zresztą miejsce i w III RP, chociaż tutaj powoli przebija się rzeczywisty obraz życia i działalności Pana Romana. Największą niechęć i wręcz wściekłość lewacka skierowana jest przeciwko jego narodowo-katolickiej wizji Polski, która nie utraciła nic na aktualności. Wręcz na odwrót: wydarzenia ostatnich lat z ich zjadłymi atakami na katolicyzm oraz wartości narodowe (m.in. rodzinne) stawiają myśli Romana Dmowskiego na pierwszym miejscu toczącej się walki.

Roman Dmowski był publicystą, politykiem, ale przede wszystkim człowiekiem z wizją Polski, w której tysiącletnie współdziałanie i wzajemne przenikanie się Narodu i Kościoła stało się sprawdzoną podstawą na przyszłość. W swoich rozważaniach na temat tych zależności wytwarzał wizję Państwa Polskiego, głęboko zakorzenionego w wartościach. Dokonał tego przez swoją publicystykę i pozycje książkowe, które śmiało możemy zaliczyć do najważniejszych szkiców polskiej filozofii narodowej. Dwie sztandarowe pozycje to przede wszystkim „Myśli nowoczesnego Polaka” z roku 1903 oraz „Polityka polska i odbudowanie państwa” z roku 1925.

Jako polityk Roman Dmowski był realistą. Wiedział, że w tragicznej sytuacji Polski pod rozbiarami tylko wielki konflikt między rozbiornymi mógł cokolwiek zmienić i zapewnić Narodowi Polskiemu realizację jego tożsamości. Warto o tym szczególnie pamiętać w roku 2014, ogłaszając tu i ówdzie Rokiem Czynu Niepodległościowego. Nie jest to



Pogrzeb Romana Dmowskiego w dniu 7 stycznia 1939 roku (fot. archiwum)

dobra nazwa, bowiem jak nazwiemy dalsze lata wojny światowej, która rozpoczęła się zaledwie w 1914 roku? Czyżby nie były one latami tego czynu?

Rok 1914 zastał Romana Dmowskiego na czele Komitetu Narodowego Polskiego w Piotrogradzie. Jako polityk -realista wiązał on nadzieje dla Polski z sojuszem Rosji, Francji i Anglii. W sumie okazało się to zbawienne dla niepodległości Polski, bo stawiało Polskę w szeregach państw alianckich, co zostało przypieczętowane staraniami Ignacego Paderewskiego u prezydenta USA Woodrow Wilsona, że jako warunek zakończenia wojny USA stawiało „powstanie Państwa Polskiego z dostępem do morza”. Komitet Narodowy Polski działał już wówczas w Paryżu, tam powstawała tzw. „Błękitna Armia” gen. Józefa Hallera, która niemalże „z marszu”, w kwietniu 1919 roku, stanęła na ziemiach Państwa Polskiego, oddając się do dyspozycji marszałka Piłsudskiego.

Wielkość Romana Dmowskiego polega

przede wszystkim na jego „realnej filozofii polskości” oraz jego długofalowej wizji Narodu, z której powinniśmy właśnie dzisiaj czerpać pełnymi garściami. Jego myśli są stale niezwykle aktualne, bez żadnego retuszu. Wystarczy je przeczytać nie z opracowań na temat Romana Dmowskiego, lecz z oryginałów czy przedruków.

Roman Dmowski zmarł w dniu 2 stycznia 1939 roku w Drozdowie, a jego pogrzeb w dniu 7 stycznia w Warszawie był największą manifestacją patriotyczną całego okresu istnienia II RP. Wzięło w nim udział około 200 tysięcy osób. Został pochowany na Cmentarzu Bródnowskim w Warszawie.

Program obozu narodowego, zawarty w dziełach Romana Dmowskiego, był obliczony na dziesięciolecie pracy nad ówczesnymi „lemingami” czyli ogłupionymi internacjonalistyczną propagandą ruchami robotniczymi, dążącymi do rewolucji na wzór późniejszej, bolszewickiej w Rosji. Zdał on swój egzamin doskonale, a sam Wincenty Witos z Polskim Stronnictwem Ludowym był postrzegany jako polityk obozu narodowego. Dzisiejsza Polska, po 45 latach PRL, a następnie ponad trzydziestu latach prania mózgu przez środowiska lewacko-liberalne również ma swoich „lemingów”, którzy wymagają wielu lat „pracy u podstaw”.

Warto o tym pamiętać.

Stanisław Matejczuk



Wszelkie listy prosimy kierować na adres redakcji: redakcja@atopolskawlasnie.com

Printed and Copyrighted by Polonia Semper Fidelis